ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela 16 września 1934 r.** **Nr. 38**

Aleksander Sendlikowski

Płomienie przeciw płomieniom

„Dante nie był ani „czystem sumieniem", jak sobie wyobrażają jego bałwochwalcy, ani też małą kanalją, jak przypuszczają inni". Jest to opinja Papiniego o Dantem. Jest to głos człowieka, który potrafił zdobyć się na szczerość sądu i spokój w ocenie.

Wielkość ma to do siebie, że mali ludzie mają dla niej pogardę i odczuwają w stosunku do niej wstręt, czując dalekość, tę przestrzeń dzielącą, której przebyć nigdy nie będą mogli. Wielkość ma i to do siebie, że oślepia pospolitych, którzy bezkrytycznie czczą ją, nie potrafiąc nawet cenić. Giovanni Papini nie należy ani do jednych, ani drugich. Stąd wypływa jego swoboda mówienia prawdy.

Giovanni Papini nie znosi napuszonego, nudnego pijaństwa słów i pięknie, uroczyście wypowiadanych mdłych oracyj. Nie próbuje pisać penegiryku. „Żywy Dante".*) Dante bez pozy pomnikowej. Dante żyjący, nie blok kamienia, albo zastygły, metalowy odlew. „Wielcy tego świata są wielkimi — pisze autor — dlatego, że mimo brzemienia ciała i podłości własnej natury, dzieląc z nami wspólne życie, zdołali wyrazić lub stworzyć coś, co przewyższało ich i ich czas" (str. 26). Bohater jest bohaterem nawet w nocnej koszuli. Ludzie wielcy nie są napompowani wielkością, która z nich bije fontanną. Taksamo jak każdy z nas mają swoje upadki i słabości obok gestów i czynów wspaniałych i wielkich. Nawet najbardziej mocne charaktery, ludzie najwięksi, nigdy jako ustrój psychofizyczny nie stanowią jednolitej zupełnie bryły. I doprawdy śmieszne jest, obłudne i fałszywe, jeżeli chce się widzieć w nich tylko i wyłącznie posągowość, zasłaniając inne karty ich życia i to karty, które wielokroć odkrywają nam i wiążą przyczynowo ważne momenty ich drogi. Ale już zupełnie politowania godne jest oparcie się na drugim diametrze, na kłamstwach, rozsiewanych przez „pogrobowców biegłej psychjatrji", którzy wielkich tego świata widzą jedynie wśród podskoków i pokurczów epilepsji, dla których genjusz jest czemś wyłącznie „fizjologicznem".

„Poetyckie duchy naszych czasów, które im głębiej nurzają się w kałuży, tem szlachetniejsze rzeczy wymyślają, spopularyzowały ideę Dantego — wielkiego człowieka, niepodzielnego, heroicznego, dumnego w każdym momencie życia". Dante, patrzy ze zmarszczką Michała Anioła na czole, Dante monument, ale nie żywy człowiek, nie jego prawdziwy wizerunek. Papini odsuwa się od tego. Kreśli nam obraz człowieka, którego będziemy mogli zrozumieć. Poeta staje się dla nas nie postacią z oleodruku, rekwizytem lub mumją, ale postacią żywą. To jej w stosunku do nas nie obniża. Nie obniża tembardziej, że tę żywą ludzką postać autora „Boskiej Komedji" kreśli człowiek o dużej wrażliwości estetycznej, znacznym talencie i wiedzy, a przedewszystkiem pisarz, nie węszący atmosfery skandalików, artysta, który ukochał i zrozumiał genjalnego twórcę, dla którego mówienie o wszystkiem nie jest równoznaczne z plugawieniem wszystkiego i cieszeniem się z tego. Papini pisze o Dantem: „Udało mi się pokochać go prawdziwie, ponieważ wiem, że prócz olbrzyma żył w nim człowiek ze wszystkiemi ludzkiemi słabościami, artysta, pełen męczarni wobec tego, co niewyrażalne". (str. 18). Książkę Papiniego pisał artysta o artyście, katolik o katoliku, Florentczyk o Florentczyku. To poza serdecznością barwi ją, nadaje jej właściwy ton. O Papinim można powiedzieć, że uczynił z Dantem to, co Sokrates zrobił z filozofją — ściągnął z nieba na ziemię. Wielkość Dantego na tem nie ucierpiała. Olbrzym — jak Dante — pozostanie wielkim bez upiększeń, fałszywych barw i szczudeł.

„W każdym człowieku, wielkim lub małym, jak powiedział poeta, ogień miesza się z nawozem, a najwyżsi są ci, którzy umieli się pozbyć elementów niegodnych, lub spalić je, aby jeszcze bardziej ożywić trawiący ich płomień". (str. 30).

„Istotnie, każda jakość wypływa ze swego przeciwieństwa. Tylko przeciętność zostaje wiecznie przeciętnością. Z człowieka podłego może się zrodzić bohater, z kryminalisty święty pański. Mieszczuch pozostanie zawsze mieszczuchem, plebejusz natomiast może się stać dyktatorem lub imperatorem". (str. 41). Dusza człowieka przytłoczonego i przygnębionego szuka możliwości odprężenia, wzlotu, szuka przeciwwagi dla losu w realizacji pragnienia. Duma — jest przezwyciężoną pokorą, odwaga — pokonaną bojaźnią, platonizm — przemianą głodu grzechu cielesnego na adorację duchową. W tych paradoksach leży istota rzeczy. „Prawdziwie wielki nie jest ten, kto się wielkim rodzi, tracąc później powoli, za sprawę zdradzieckiej łatwości, swe moce wrodzone, lecz ten, kto zdobywa swoją wielkość, wbrew wszystkim i wbrew wszystkiemu, wbrew swej naturze i przeciwności losów". (str. 41).

„Żywy Dante". Kim był poeta zanim nabrał twardych rysów monumentu, jakie były koleje jego życia, młodość?

Papini daje odpowiedź:

Dante Alighieri, to płomień. Rozedrgany, chyboczący ogień. Teolog, filozof, prorok, poeta, polityk. Człowiek nie wolny od ciężaru ciała i fermentów krwi. Nie hipokryta, i nie szarlatan.

Młodość. Jak młodość każdego Florentczyka. Wesoła, pełna śmiechów, żartów i zabaw. Rozkosz rozciągnięcia się na trawie, zapatrzenie w niebo, strzegące jasnością miasta z kamienia, zapomnienie przy słodkich wspomnieniach o Monnie Bercie, Ser Martino, to towarzyszu maestro Brunetto, lub dziewczynach spotkanych na Mszy w Santa Marguerita, lub Santa Reparata. Przyjemnie było ubiegać się o względy młodych kobiet, które pewnie i same zachęcały do tego, sycić pocałunkami i nie poprzestawać na anielskich uśmiechach, pochyleniach głowy i wierszowanych słowach. Poeta sam pisze o sobie, że rozpusta nieraz drogę jego przebiegła. Nie był przecież Alighieri ani lodowatym, ani świętym.

Skłonność do filozofowania nie zabijała w nich chęci do włóczenia się, poszukiwania przygód, bogacenia się wrażeniami. Gawędy, uliczne widowiska, procesje, triumfalne pochody kondotjerów, popisy sztukmistrzów i żonglerów. Dante w tem wszystkiem brał udział. A ręka, która napisała „Boską komedję" potrafiła sięgnąć po ociekające czerwienią, jak krwią, dojrzałe grona z winnicy rzymskiej.



Dante.

Młodość Alighierego jest pełna gorączkowego szukania własnej drogi. Jest to wspinanie się po stromych zboczach, gdzie w każdej chwili grozi zwalenie i śmierć — jest to lawirowanie pomiędzy masą drobnych i wielkich trudności, niepokojów i niedostatków. Człowiek, który przebywa tę drogę rośnie i potężnieje, krzepnie. Staje się głosem wołającego. Jest jak Izajasz i jak Jeremiasz. Ma w sobie coś z wieszczbiarza i proroka. Jest zwykłym człowiekiem, a potrafi być Katonem i Cezarem. Staje się Katonem — bez samobójstwa, a Danielem — bez lwów. W nim zamyka się, jako doskonała synteza okres przełomu, w którym żyje. Łączy on w sobie mądrość wschodu, owo greckie „logos", z chrześcijańskiem „caritas" i „civilitas" rzymską. Serce jego i umysł przerasta miarę zwykłą. Serce ma augustyńskie i platońskie, głowę arystotelesowską.

Myśli Alighierego obejmują nie przeciętny zakres. On, Florentczyk, widzi nietylko to, co dzieje się w murach miasta, ale wybiega daleko poza nie, ogarniając całą Italję, cały świat. W marzeniach jego, w utopijnej wizji wyrasta światowe Imperjum. Dante wierzy w monarchję, w cesarstwo. Pragnie jego realizacji, pragnie porządku. Nienawidzi chaosu panującego w Italji. Rozczarowania do monarchji i tego, kto ją za czasów Dantego uosabiał, przyjdą później. Dante nie uznaje i nie godzi się z prymatem i jedynowładztwem cesarza lub papieża nad światem. Uznaje on równość obu władz, równoległość w sensie ich działania. Walczy on o nowy porządek rzeczy. Wiara jego i przekonanie, co do celowości dwoistego systemu rządów światem, zostają poważnie zachwiane, gdy staje twarzą w twarz przed cesarzem Henrykiem VII i papieżem Bonifacym. Nie widzi w nich olbrzymów, mogących nadać inny bieg kolejom świata.

Jego czynny udział w życiu publicznem kończy się ucieczką z Florencji w obawie stosu. Alighieri jest dwukrotnie skazany na śmierć. 20 lat tułaczki. Niepowodzenia i sława są dlań nagrodą. Nie może powrócić do Florencji, gdzie tak pragnął uzyskać wieniec laurowy.

Dante stał się symbolem okresu, rozpoczętego za Romulusa Augustusa, a trwającego aż do Cezara Borgii.

Dante w ciągu całego swego życia czuje się bezgranicznie samotny. Matkę utracił, mając lat 5, ojca — 12. Pozostał sam. Nikt z przyjaciół, ani żadna z kobiet nie zniweczy jego tragicznej samotności.

Są momenty, kiedy od tej przeraźliwej pustki Alighieri szuka ucieczki w miłości. Miłość jego jest gwałtowna, namiętna, zmysłowa. Zmysłowość graniczy z rozpustą. Czy miłość daje szczęście poecie? Nie. Ukochana Beatricze jest żoną Szymona de Bardi, jej osoba jest raczej symbolem, personifikacją ideału, pragnienia, marzenia. Dlatego, nie mogąc się z nią związać trwałemi węzłami, Dante deizuje ją, „przebóstwia", idealizuje w sposób fantastyczny. Beatricze, zdaje się, wbrew utartym przekonaniom, pozostawała w stosunku do Dantego obojętna, nawet żartując z niego i szydząc. Dante nie zraża się tem. Kobiety w jego życiu odgrywają znaczną rolę. Ale czy która z tych siedmiu, o których wiemy, mogła mu zastąpić Beatryczę? Napewno nie.

A przyjaciele poety? Ci nie mogli mu towarzyszyć, iść wspólną z nim drogą. Zresztą nie były to wybitniejsze osoby. Chociażby Guido Cavalcanti o niezbyt czystych obyczajach, wręcz pomawiany o homoseksualizm.

Dante zresztą nie żył nigdy blisko z przyjaciółmi. Był zbyt dumny. Pochłaniały go jego prace, myśli. Brał czynny udział w życiu Florencji. 11 marca 1289 r. Alighieri wziął udział w akcji zbrojnej, występując w bitwie pod Certomonde, gdzie walczył po stronie Gwelfów przeciw Ghibelinom. Później bierze on udział w wyprawie na Pizę i oblężeniu zamku Caprona. Poeta stawał w polu, jak Ajschylos pod Maratonem i Cervantes pod Lepanto — jak po nim Foscola, Mameli, d'Anunnzio.

„Nagroda za wszystko, co Dante, poczynając od roku 1295 roku, dla dobra ojczyzny uczynił, została mu przyznana, zgodnie ze stylem tyrańskich demokracyj. Wygnanie, rabunek domu, konfiskata majętności, skazanie na śmierć. Za wszelką cenę chciano i starano się go zniweczyć. Odjęto mu ojczyznę, która jest jakby połową życia dla ludzi o sercach gorących, oddzielono od rodziny, zmuszono do życia z żebraniny, co równa się śmierci dla dusz szlachetnych, na imię jego rzucono infamję, obwołano go oszustem, fałszerzem, złodziejem i świętokupcą, wreszcie zagrożono mu śmiercią cielesną. Dante miał być pod każdym względem unicestwiony". (str. 112).

Pisząc o Dantem nie można zapominać, że miał on wiele wad i że był grzesznikiem. Była to natura niesłychanie ekspansywna, chorobliwie wrażliwa. Nic dziwnego, że nawet w stosunku do Florencji, potrafił się zdobyć na złe słowa, nie mówiąc już o ludziach, którym nie szczędził szyderstw, oskarżeń, drwin.

O Italji pisze Dante w „Boskiej Komedji":

„Biedna Italja, bólu gościnnica
Wśród wielkiej burzy — bez
[sternika nawa
O, już nie pani ludów — nie-
[rządnica!".
(Czyściec VI-76-78).

Urywek ten dziwnie przypomina „Grób Agamemnona" Słowackiego.

„Dusza poetów — a każdy wielki, to poniekąd poeta — jest nieskończenie więcej wrażliwa od duszy ludzi zwykłych i dlatego też łatwiejsza do zranienia przez wrażenia od świata odbierane". (str. 183).

Konflikt Dantego ze światem zewnętrznym jest dla nas zrozumiały. Jak pisze największy ze współczesnych krytyków niemieckich, Fryderyk Gundolf: „Twórca atrakcyjny pragnie przekształcić cały świat w swoje ja, przerobić go, zgodnie z nakazami swej głębokiej wyobraźni. Uważa, że jego „ja" jest centrum i symbolem świata".

Takim właśnie był Dante. Tu też znajdujemy klucz do wielu jego poglądów i postępków, wydających się paradoksalnemi. Takim pokazał go nam Papini w swej książce „człowieka żywego o człowieku żywym". Dante, poeta, mąż stanu, pisarz, człowiek płaczący, ten twórca „Boskiej Komedji", piszący, jak Homer, Horacy, Owidjusz, Lukan i Wergiljusz — staje się nam zupełnie bliski. Człowiek, który przeszedł przez życie przeraźliwie samotny, który poniósł bankructwo, jako polityk i reformator moralny, jako człowiek czynu budzi w nas głębokie współczucie. Dante z twórczości swojej chciał wykuć czyn. Nigdy nie była ona dla niego samą „sztuką dla sztuki". Wielkość jednak nie ginie. Za życia wyśmiewany i wyszydzany, trwa pośród nas żywy Dante Alighieri.

•

W naszym okresie indywidualizmu, monografja stała się pożądaną. Pisze się monografje o współczesnych i monografje historyczne, naukowe i beletrystyczne. Do których z dwu ostatnich zaliczyć dzieło Papiniego? Jest chyba nowym, pośrednim rodzajem.

„Żywy Dante" jest książką pierwszorzędną. Znacznie lepszą od monografji św. Augustyna, pisanej przez Papiniego. Pisana jest żywo, jasno, ciekawie. Materjał ugrupowany starannie w pięciu księgach: Prolegomena, Życie, Dusza, Dzieło i Los — naświetla doskonale postać wielkiego Florentczyka.

Giovanni Papini stara się tchnąć ducha w swoje dzieło. Udaje mu się to znakomicie. Może nawet za bardzo. Chwilami wydaje się, że Papini pisze o sobie, głosi własne swe prawdy, propaguje swoje zasady, majaczy zaledwie cień Dantego. Papini jest zbyt silnym indywidualistą, aby to nie odbiło się na jego książce. Można jeszcze zaznaczyć, że ton kaznodziejski i pobłażliwie-mentorski, w jaki wpada autor — nie zachwyca.

Przekład dobry.

Całość robi korzystne wrażenie.

„Odbronzowanie" Dantego wskazuje właściwą metodę sprowadzania wielkości z pomników na ziemię. Jakże dalekie to jest od „odbronzowania" sposobem à la Boy. Słusznie pisze Papini, że „zoolog nie koniecznie musi być zaraz „dzikim osłem", a astronom satelitą". „Odbronzowanie" jest formą ujęcia krytycznego, uspółcześnieniem. Romain Rolland pisze: „Krytyk, który zawzięcie obniża do swojej miary wielkich ludzi i wielkie myśli, dziewczyna, która dla zabawy upadla swych kochanków, są szkodliwemi zwierzętami jednego gatunku. — Ale ta ostatnia jest milsza".



Feurbach: Dante w otoczeniu szlachetnych dam z Ravenny.



Holiday: Spotkanie Dantego z Beatryczą.

*) GIOVANNI PAPINI: Żywy Dante. Przekład Edwarda Boyego. Warszawa 1934. Wyd. Przeworskiego.

Adolf Nowaczyński

5 6 9 4
(W Ameryce)

O Stanach Zjednoczonych i ich blaskach i cieniach mamy, trzeba to z wyjątkową dumą zaznaczyć, relacyjne książki polskie wprost doskonałe, całkiem na poziomie zachodnio - europejskim: prof. Dyboski, prof. Makarewicz, W. Gąsiorowski. Dodaćby do tego trzeba świetne „Listy z podróży" inżyniera Koźmiana i równie inteligentne korespondencje dziennikarza Paciorkowskiego. Rzecz najważniejsza w nich, że nie daliśmy tam sobie znów zbyt Jonatanowi zaimponować wedle staropolskiego przysłowia „ogorzała od miesiąca". Co ciekawe i rekordowe, no to i owszem, pod światło i na plus, ale co chamskie, trywjalne, głupie, ordynarne, wulgarne, łajdackie i łotrowskie, także nie pod korcem, ale na wierzch i bez pardonu.

NAJ...

Niektórzy „podróżnicy" europejscy (szczególnie z gatunku fe-tórystów), dali się tam całkowicie odurzyć i rozpisywali się potem w stanie kompletnego oczadzenia. Panowie: Ordyński, Maurois, Asch, Emil Ludwig (Cohn). widzieli tam tylko samo słońce i pogodę, samo złoto, co się świeci, zenity wszystkiego, najcudniejsze pampasy, najśliczniejsze girlasy, największych uczonych wynalazców, odkrywców, najpraktyczniejsze inowacje, instalacje, najmądrzejsze cohnfedaracje i korporacje, dobrobyty, dobrebuty i wogóle finalne osiągnięcie tego wszystkiego, do czego ludzkość ma dążyć. Olśniewało ich nietylko, że Stany Zjednoczone mają 60 proc. nafty całego świata, 40 proc. węgla, 80 proc. produkcji samochodowej i t. p., ale także i to, że w świniobójniach Armoura w Chicago zarzyna się dziennie 30 tysięcy wieprzów, że wykończa się tam niebotyk (drapacz) na 170 pięter, że Mellon „kontroluje" 8 miljardów, a Toscani w Metropolitain - Opera - House dostaje sto dolarów za kwadrans dyrygowania. Była era i w Warszawie, że posiadanie dziesięciu fotografij z dedykacjami Charlie Chaplina, Jackie Coogana i Eddie Cantora otwierało posiadaczawi wszystkie salony Solonów i Salamonów sanacyjnych. Każdy znów reporternik z New czy „Jew - York Timesa" przyjmowany był przez naszych ministrów bez pukania i każdy znów z naszych, który „miał w Waszyngtonie wyrobione stosunki" („Człowiek, który znał Coolidge'a"), mógł każdej chwili wycisnąć ze skarbu sporą sumę, aby przepłynąwszy Ocean na luksusowym „Lewiatanie", znów nam tam wydostać nową (lichwiarską) pożyczkę (parszywą).

AUTO-STRATA

Nie trzeba było zbyt długo czekać, aż i przyszła znów nowa fala ale tym razem negatywnych relacyj o Dollarice. Zaproszony jako dziwowisko Robindranath Tagore wysiadł w Kalifornji z okrętu i po dwóch dniach wsiadł z powrotem nie wygłosiwszy żadnego z zaliczkowanych odczytów, a tylko bez słowa splunąwszy do 160 reporterników. To samo Maeterlinck; przyjechał, popatrzył, pogadał krótko i odjechał. Poczem już cały szereg Europejczyków, rozglądnąwszy się szerzej i głębiej wypowiedział się i wypisał negatywnie i bezceremonjalnie. W „imieniu" Włochów: Giovanni Battista Angioletti i Ferri Pisani („Sa Majeste Dollar"). W imieniu Hiszpanów: Madariaga („Harpers Magasine"). Z Niemców — Kayserlinck, rodzeństwo Klaus i Erica Mann i inni. Od Anglików: sędziwy Balfour i lady Asquith wprost fatalnie. Francuzów jechało za Ocean moc, żeby się przypatrzeć „Alice Wonderland" i krajowi nieograniczonych niemożliwości.

Starali się być entuzjastyczni, żeby działać pedagogicznie i edukacyjnie na swoich „zacofańców". Popowracali z nosami na kwintę i żołądkami popsutemi od tych konserw, ice creamów i najgorszej kuchni, jaką tylko genjusz kulinarny ludzkości mógł wymyślić. Starając się opinjować najobjektywniej, kolejno nawymyślali najwytworniej Krajowi Cudów: Morand, Siegfried, Paul Adam, Frank L. Shell, Ludwik Romier, Michaud, St. Lausanne, Lac - Durtaine, Fortunat Strowski, Paul Achard, Duhamel, Aron i Dandie, ba nawet starsza pani Yvette Guilbert, no i moc innych, cała kolekcja. Okazało się, że to, co tak olśniło Aschów (Baschów i Lecachów), to bynajmniej nie olśniło Europejczyków rdzennych (Arjogoim). Ocena generalna kulminowała w zdaniu: owszem, dolarów w bród, ale chamy nadal i dożywotnio. Tarzany w smokingach. Elephantiasis. Pecus. Pecunia non olet. Z każdego parcha robią zaraz mammonarcha.

Auto - strata czasu i atłasu. W miesiąc można nabawić się biegunki i obrzydzenia do cywilizacji. Jedyni tam „ludzie biali", — to Murzyni.

SZCZYTEM — CLOSED Z MUZYKĄ

Zaczyna się tęsknić do czerwonoskórych (Indjan), gdy się ma do czynienia z tymi białymi. Do rekordów dobrzy (jedyni), do normalnego obcowania nie do zniesienia. Chicago możnaby śmiało spalić, nawet nie grając przytem na cytrze (jak Nero). Najnudniejsza papuga bywa ciekawszą od najpiękniejszej Miss Californja. Szmelctygiel, ale na szmelc. Rozmawiając z bankierami, marzy się o złodziejach kieszonkowych na Sycylji. Największy smród w uroczem Hollywood (od benzyny). Genjalność mężów stanu w Stanach trudno niekiedy odróżnić od mentalności subjektów w „Galerie Lafayette" lub u Wertheima czy Tietza. W j e d n y m pałacyku barokowym na podrzędnej uliczce Wiedeńskiej jest więcej szyku, szarmu i gracji, niż w d w ó c h najbardziej luksusowych, najdroższych hotelach na V-ej Avenue. Śliwka węgierska ma więcej aromatu od ananasa u młodej Liliane Astor. Można przewieść i przenieść do Arizony cały zamek normandzki, ale ludzi, którzy tego dokonali, należałoby przenieść do wieczności. Trawa w Hyde - parku londyńskim jest taka sama, jak trawa w Hydeparku (letniej siedzibie prezydenta U. S. A.), ale pierwsza pachnie, a druga tylko zielenieje. Seneca obróciłby się w grobie, gdyby zobaczył miasto tej nazwy w Stanie Indjana. Carnegie i Rocquefeller to tacy sami altruiści, jak Lynch i Monroe. Szczytem k u l t u r y Anglosasów amerykańskich jest c l o s e d z muzyką, samoczynny i samoczysty...

Takich itp. definicyj, metafor, alegoryj, przysłów i powiedzonek możnaby moc i przemoc wytłoczyć, wycisnąć i wydestylować z dzieł i prac tych Europejczyków, którzy nie dali sobie zaimponować p r o s p e r i t y Dollariki i nietylko nie padali plackiem przed Złotym Cielcem, jak „Maurois" czy inny „Emil Ludwig", ale wprost przeciwnie oglądnąwszy spokojnie co było godnego oglądania utęsknieni wracali potem z wzmożoną, podwojoną miłością do swoich europejskich małych, biednych, zacofanych, miejscami nawet brudnych kraików rodzimych „ojczyzn". Żaden Włoch ni Wenecji, ni Florencji nie oddałby za wszystkie skarby i giełdy Ameryki. Co znaczy i jak wygląda ta bezładna kupa wysterczających, nowojorskich drapaczy z jej głupawą słynną „linją", wobec obdrapanego Escurialu wobec Heidelbergu, Awinionu, Wawelu, Hradczyna, ba nawet Kremla, nie mówiąc już o... chińskich, a nawet... hinduskich pagodach?....

ZDROWA REAKCJA

I tak po latach, po długich latach, po ćwierćwieczu nagminnego, stadowego, starokrajskiego, europejskiego entuzjazmowania się i małpowania amerykanizmu (wyszydził to Stead) przyszła zdrowa reakcja ogólnej i w każdym kraju poszczególnej jakby ukartowanej ostrej krytyki i negowania tej cywilizacji, „cywilizacji bez kultury", cywilizacji kantorzystów i komiwojażerów. Już zaprzestano zapraszać różnych takich Kemmererów, jako lekarzy i znachorów finansowych. Takie słowa, jak Tayloryzm, e f i n c i e n c y, Fordyzm. technokracja—płowiały. bladły i traciły cały swój radjoaktywizm. Częściej i gęściej natomiast weszły w języki europejskie takie terminy, jak t h r i l l, b o s t i n g, bluff i humbug. Pomogło w tym procesie odradzania się rozjaśnionych mózgownic starokrajsko - europejskich także i to, że wreszcie i sami Amerykanie zaczęli brać pod lupę nieco te swoje rekordy, sukcesy, triumfy, poczem je prześwietlać, analizować i krytykować.

W literaturze nadobnej tego wzięli się do akcji karno - krytycznej najpierw Upton Sinclair, potem Sinclair Levis, wreszcie Dreiser i najsurowszy P. G. Wodehouse i szereg innych choćby i komunizujących, ale wreszcie prawdomównych i nie opętanych złotocielęcą yankesiarską megalomanją. Nie szczędził poważnych razów i cięgów swoim ziomkom „prezydent" uniwersytetu Columbia progresista S. B. Butler. Stuart Chase dał foljał: „T h e N e m e s i s o f a b u s i n e s s m a n", a J. Trunslow Adams: „A B u s i n e s s m a n C i v i l i s a t i o n". I zaczęło się samobiczowanie na wielkim froncie. Osobny odcinek miał przez całe dziesięć lat niestrudzony H. L. Mencken, wydawca zielonych satyrycznych zeszytów, wódz twardych kampanji ze zbydlęceniem, z kretynieniem, z automatyzowaniem, z chamstwem, autor druzgoczących „S i n s o f A m e r i c a". Pojawili się też tacy wśród tych krytyków, którzy doszukując się i badając korzenie tego zła amerykańskiego natrafili dość niespodzianie na... Stary Testament i na... bezbożnictwo.

I słusznie na to specjalnie też zwrócił uwagę autor „Listów z Ameryki" w „Kurjerze Porannym" drukowanych (w książce jeszcze niewydanych?) p. K. Paciorkowski. To samo stwierdza cały szereg turystów - jurystów, rzeczoznawców, badaczy. Przepojenie ducha i obyczajowości amerykańskiej Starym Testamentem, czyli inaczej judeizacją Anglosasów. Pan Paciorkowski stwierdza to samo, co Siegfried, Duhamel, Lausanne, Angioletti, Madariaga, Koźmian. „Biblja jest najpopularniejszą książką w Stanach, znajdzie się ją w każdym pokoju hotelowym":

Możnaby powiedzieć, iż dzisiejsza Ameryka żyje według Biblji, ale nie według Nowego Zakonu. W wielu dziedzinach jakgdyby czerpano wzory ze strasznej księgi Starego Zakonu, nie znającej litości, ani miłości bliźniego.

Imiona ze „Starego Testamentu" i cytaty ze Starego Testamentu.

BEZWYZNANIOWOŚĆ, ZBRODNICZOŚĆ, SZALEŃSTWO...

Według statystyki „Christian Heralda" ze stycznia r. 1934 (w Ameryce liczyć należy 5694-go) na 125.693.000 ludności do wyznań chrześcijańskich przyznało się i zapisało urzędowo 61 miljonów, to znaczy mniej niż połowa. „Większa" połowa, bo 64 miljony jest albo innowyznaniowa albo bezwyznaniowa. Jeszcze ściślej biorąc nie 61 milj. lecz 60.812.000 Z tego znów idzie na metodystów 8.766.000, na babtystów 9.866.000, katolików 21 miljonów, dalej presbiterjanie (podzieleni na 9 sekt) i luteranie w 16 sektach...

Cyfra bezwyznaniowych rośnie tam w tem tempie i w tych rozmiarach w jakich wzrasta (rzecz ciekawa) cyfra... bezrobotnych... Bezwyznaniowość wzrasta synchronicznie z bezrobociem. W każdym razie notoryczna i urzędowo stwierdzona w rubrykach stanu cywilnego bezwyznaniowość jest większa niż... w Sowietach.

W szeregu ostatnich prezydentów Wilson był prebisterjaninem, Taft unitarystą, Hoover należał do sekty kwakrów, Coolidge do sekty kongregacjonalistów, ostatni zaś prezydent należy „ponoć" do bezwyznaniowych.

Równomiernie z bezwyznaniowością i z bezrobociem wzrasta rubryka przestępców, czyli kryminalistów, która w krytycznym roku 1933 doszła do poważnej cyfry 400.000, w ostatnich więc dwóch latach wzrosła o 140 proc. W mowie swej z dnia 29. 8. 1933 stwierdził wysoki dostojnik sądowy Gerry H. Dern, że rocznie ginie z rąk morderców w Stanach 12.000. 50.000 pada ofiarą rabunków, 3,600 porwanych jest dla okupu (K i d n a p p e r). Toteż koszty wymiaru sprawiedliwości w Stanach Zjednoczonych (sądy i więziennictwo) dochodzą do 13 miljardów rocznie, czyli 3 razy tyle, koszty całej administracji Unji! Zbrodniczość ta nie jest bynajmniej warunkowaną upadkiem czy rozluźnieniem moralnem w miastach tylko wielkich. gdyż wedle danych z r. 1934 podczas gdy w Nowym Jorku wypada na 100.000 mieszkańców mordów 8.3 proc., a w Chicago na 100.000 — mordów 14.1 proc., to w takiem małem „Memphis"... idzie jednak na 100.000 rocznie w zaświaty 52.2 proc. mieszkańców, co oczywiście jest również mało pociągające dla... turystów, jak i dla... jurystów.

Również grubo niepokojącym obok c r i m e - v a v e (fala zbrodni) objawem jest tam nadmierny odsetek „destruktów" ludzkich, t. j. kalek, głuchoniemych i obłąkanych. W dzisiejszej Ameryce Roosevelta, Niry i „Niebieskiego Orła" przypada jeden obłąkany już na 160 obywateli, a w domach i szpitalach dla umysłowo niepoczytalnych przebywa 500.000 mieszkańców, czyli pół miljona... a są to cyfry z roku na rok wzrastające.

GROZA WYLUDNIENIA — ZBROJENIA I STRAJKI

Ubytek i spadek notować się daje w ostatnich latach nie tyle w cyfrze bezrobotnych (jak to sobie obiecywano), ile w cyfrze rozrodczości i przyrostu normalnego. Statystycznie przedstawia się to w ten sposób, że w r. 1880 przyrost roczny wynosił 29,4 proc., w roku 1900 już tylko 21,9 proc., a w roku 1930 spadł do 15,7 proc. Ponieważ przyrost roczny wynosi 2.900,000, przeto cyfra ludności (125 miljonów) jeszcze i teraz powiększa się rocznie o 2.900.000, ale cofać się zacznie już koło r. 1950. Wobec tej zmniejszonej rozrodczości liczba panów i pań starszych nad 65 lat wzrosła w ostatnich dziesięciu latach o 34 proc., czyli że „naród zaczyna się starzeć". Pocieszającym w tem objawem jest silna rozrodczość murzynów, których przeciętna rodzina nadal składa się z osób 5 (biali 3.8). Poza 13 miljonami czarnych są jeszcze czerwonoskórzy (Indjanie), dawniej kurczący się a teraz w cyfrze wzrastający (300.000).

Do tych wszystkich „plam na słońcu" dodać musimy jeszcze świeżą rewelację, ot, wziętą z kroniki... pacyfistycznej...

Na zebraniu kwakerów w Nowym Jorku poseł stanu North Dakota oświadczył, że Stany Zjednoczone stoją obecnie na czele wyścigu zbrojeń, który ma miejsce w całym świecie. Kredyty przewidziane na zbrojenia przekraczają sumę 7 miljardów dolarów. Do tego musi dojść jeszcze jeden miljard potrzebny na zrealizowanie projektu Vinsona. Od 1912 do 1930 r. kredyty przewidziane na zbrojenia wzrosły o 197 proc.; w tym samym okresie wydatki na zbrojenia Japonji wzrosły o 142 proc., Francji — 30 proc., Włoch — 44 proc., Rosji — 30 proc.

Jeżeli dodamy jeszcze straszliwy chaos wytworzony w ostatnich miesiącach, do fali zbrodni falę strajków i regularnych bitew staczanych z rewolucyjnym, tracącym cierpliwość proletarjatem, to nie możemy się dziwić, że nawet ludzie z otoczenia prezydenta szukając „wyjścia z tej sytuacji bez wyjścia" wpadają na „mistyczne" pomysły, którym dał wyraz członek gabinetu, czynny minister, sekretarz stanu dla rolnictwa Henry Wallace w książce p. t. „S t a t e s m a n s h i p a n d r e l i g i o n" czyli z europejska po polsku o... potrzebie religji i wiary, normalnej wiary, oczywiście nietylko w N e w D e a l i B r a i n s - t r u s t i R e c o v e r y.

ROSZ HASZANA

Z okazji przypadającego obecnie nowego roku (Rosz Haszana), wedle Starego Testamentu 5694, dzisiejszy prezydent Stanów Zjednoczonych wysłał po raz pierwszy w dziejach telegram gratulacyjny do Telegraficznej Agencji Żydowskiej, a właściwie wogóle do żydów (do wsiech! do wsiech! do wsiech!) tej treści:

„Jestem szczęśliwy, że z okazji okresu świąt Rosz-Haszana mam możność wznowienia mych najlepszych życzeń dla moich współobywateli wyznania żydowskiego w całym kraju. Jest to sposobność dla ponownego zdania sobie sprawy z naszej odpowiedzialności w obecnych czasach celem kontynuowania pracy, którą, wespół z wszystkimi Amerykanami, podjęliśmy dla realizacji obietnicy lat, ku którym kroczymy".

Poznawszy teraz dokładniej statystyczne dane amerykańskie dzisiejsze nie pozostaje --m chyba nic innego jak wznowienie naszych najlepszych życzeń narodowi amerykańskiemu w związku ze starym rokiem 1934 (5.694), który tam zapowiada się bardzo ciężko.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Półciężarówka z Niborku

Niemcy pobili nas w piłce nożnej 5:2. Niemcy są najlepsi w lekkiej atletyce, Niemcy wystawili największą ekipę do challenge'u 1934. Niemcy wygrywają w zawodach hippicznych. I to wszystko właśnie od przewrotu hitlerowskiego. I dawniej byli dobrzy w sporcie, ale przecież nie było tej lawiny zwycięstw we wszelkich możliwych konkurencjach. Czy to ma jakikolwiek związek? Czy może mieć coś wspólnego ustrój państwa, prąd polityczny dominujący w narodzie z wynikiem indywidualnym jakiegoś sportowca? Czy może mieć?

Wątpiłem o tem do dnia wielkiego meczu Niemcy — Polska w Warszawie. Nie chodzi mi o sam mecz, lecz o co innego. Zjechało do Warszawy spowodu tych zawodów 10 tysięcy Niemców. Jechali koleją i autobusami, rozbijali się po mieście, zwłaszcza korzystając z egzotycznych konnych „droschken". I tego właśnie dnia stanąłem u progu tajemnicy stosunku między polityką i rekordem sportowym.

Zauważyłem na jednej z ulic Warszawy małe półciężarowe auto. Było ciemnozielone z białym napisem. Na platformie stało kilkanaście zwykłych giętych krzeseł. Biały napis brzmiał:

Georg Reschke
Kolonialwaren
En gros u. en detail
Neidenburg O Pr.

W Warszawie będziemy bić się z Polakami! Więc pan kupiec kolonjalny z Niborku (właśnie z Mazurów) stawia kilkanaście krzesełek na swoją półciężarówkę i jedzie blisko dwieście kilometrów z trzęsącymi się przykro na stołkach rodakami do Warszawy — oglądać niechybne zwycięstwo. Wir sind erwacht! Zbudzone Niemcy interesują się każdym wyczynem swoich synów. Zbudzony Niemiec trzęsie się dwieście kilometrów na mecz z Polakami. Dziesięć tysięcy zbudzonych Niemców jedzie, musi jechać do Warszawy. Wszystko jest nowe, wszystko jest ważne, wszystko jest — Heil Hitler! A ty, łobuzie, spróbuj nie pobić rekordu. Wstydbyś przyniósł starej ojczyźnie i młodemu ruchowi narodowo-socjalistycznemu. Wir sind erwacht!

Człowiek, a nawet rekordzista, nie jest maszyną. Od względów technicznych ważniejszą rolę w jego działaniu grają pobudki psychiczne. W państwie kapitalistycznem każdy człowiek robi coś dla siebie lub — dla ludzkości. Rekord własny, rekord światowy... W państwie narodowem wszystko jest ważne. Polityka nie pływa jak korek po wodzie tłustej od nafty, ale przenika wszystko jak powietrze. Wszystko jest ważne, wszystko ma znaczenie dla narodu, wszystko odczuwa każdy członek narodu. Organizacja państwowa może dać drużynie sportowej wszelkie ulgi i zaopatrzenie. Ale współczujące tłumy, doping zwycięstwa, namiętne zainteresowanie — dać może tylko instynkt narodu. A państwo narodowe wie, że nieraz ważniejszą rzeczą od wysokich wpływów podatkowych i od technicznych ulepszeń w zaopatrzeniu armji jest, by dziesięć tysięcy ludzi pojechało do obcej stolicy i w poczuciu swej zbiorowej siły śpiewało na boisku swój hymn narodowy.

Więc jednak związek między wyczynem sportowca a polityką jest bardzo silny i bardzo prosty.

Półciężarówka z Niborku wali do Warszawy (granica Prus Wschodnich tak blisko), a Polacy przegrywają wszędzie. Bo czyż np. Weissówna może być pełna twórczego entuzjazmu?

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

AWDIEJENKO A.: Kocham. Z rosyjskiego przełożyła H. Pilichowska. 8° str. 311. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

GAJDA R. Ks.: Organy, ich historia, budowa i pielęgnacja. 8° str. 124. Katowice 1934. Księgarnia i Drukarnia Katolicka. Zł. 5.—.

GMYTRASIEWICZ JAN: Podstawy metafizyki. Rzecz ujęta z punktu widzenia fizyko-matematycznego. 8° str. 72. Kielce 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.60.

GÓRZYŃSKI S.: Chwila bieżąca a wybór zawodu. 8° str. 40. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.—.

GÓRZYŃSKI ST.: Podstawy polskiej kultury średniowiecznej. 8° str. 24. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.—.

HURST F.: Boczna ulica. Powieść. Przekład Bolesławy Kopelówny. 8° str. 603. Warszawa 1934. J. Przeworski. Zł. 10.—.

KONARSKI SZYMON, inż.: Wytyczne do projektu oddłużenia. 8° str. 13. Brześć 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 0.40.

LOOKE W. I.: Czerwona planeta. Przełożył dr. J. P. Zajączkowski. 8° str. 367. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

LULEK T. dr. prof.: Zarys rachunkowości kupieckiej dla szkół i kursów handlowych. 8° str. 100. Kraków 1934. Księgarnia Oświata. Zł. 2.10.

NEHRING E.: Ogórki, pomidory i warzywa pokrewne. Wyd. 2-gie przerobione z 23 rys. 8° str. 95. Warszawa 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.80.

PARUSZEWSKA MARJA: Moje pieśni. 8° str. 178. Poznań 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 5.—.

Podstawy zarządzania przedsiębiorstwem pod redakcją inż. **J. WITOWSKIEGO.** Z. XII. Organizacja przemysłowa i ogólna. 16° str. od 349 — 365. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.—.

SIEROSZEWSKI W.: Dary wiatru północnego. Powieść. 8° str. 202. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

— Ja już o tem myślałem — odezwał się poważnym tonem Hermeticos — trzebaby wydać wielki obiad, na cześć właścicieli kin.

— Któż to zapłaci? — zapytał Jacobi. — Kuchnia, to nie kino. Na kredę pan nie dostaniesz bankietu.

— Ależ przeciwnie — upierał się Kalitrich — to nie chwila, na targowanie się o parę groszy. Zaraz zawiadomimy prasę, że nasz film będzie wyświetlany w „Ciné-Triomphe" (sala na placu Etoile jeszcze nie jest wykończona). Podejmuję się wydzierżawić bufet i bar-dancing temu, kto nam urządzi na kredyt obiad, na osiemdziesiąt osób.

— Idź pan — żachnął się Sacher — to stary kawał. Poco zaraz psiedstawienie. Co pan im pokażesz — co? Ja mam nowy pomysł. Co panowie powiecie do intymny fajf — z coctailem. Goście piją — a my głośno czytamy scenarjusz? dobry kawał co? To ich podchlebi? no nie?

— Pomysł do luftu. Kupcy z bałtyckich krajów każą obciąć początek, kolonje francu-

skie zamówią inne zakończenie. Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść — zauważył Hermeticos, obracając w palcach bursztynowe ziarnka muzułmańskiego różańca.

— Uj, niedobrze — westchnął Jacobi. — Zapomniałem też powiedzieć, że dostałem depeszę od Tatarina. Chce pieniędzy.

— No...

— Odpowiedziałem mu tak — jeśli panu zapłacimy teraz, to zrobimy plajtę. Nie zapominaj pan, że pański ojciec, staruszek, jest członkiem zarządu Eterfilmu. Ofiarowaliśmy mu przecież zaszczytne miejsce w radzie nadzorczej. Chyba pan nie chce być synem bankruta?

— Byczo.

— Jakie to nadzwyczajne, że gdy chodzi o film zawsze wszystko da się zrobić — rzekł pokrzepiony Kalitrich.

Nagle rozdźwięczał się telefon.

— Aloo! Tutaj Beaulieu... Alooo! Kanapeżan? Tutaj Jacobi... Co takiego? Siedzicie po ciemku? A co ja na to poradzę? Co takiego? Mechanicy pochowali reflektory i straj-

W plugawym pokoju, służącym za biuro unosiła się woń wschodnich pachnideł, haszyszu i różanej wody, pomimo że nikt z obecnych nie kąpał się już od dawna. Martwe muchy walały się na zniszczonym dywanie, pod oknami których nie myto od szeregu miesięcy.

Zapadła cisza. Sacher, Jacobi, Kalitrich i Hermeticos strzygli uszami, czekając nie wiadomo na co. W nieopalonym pokoju panował przykry chłód — popodnosili więc kołnierze i siedzieli w milczeniu. Chwilami słychać było bulgotanie czczych kiszek. Byli głodni.

— Gadaj pan — masz łeb na karku — odezwał się nagle Hermeticos, patrząc na Kalitricha.

— Nie pozostaje nic innego, jak tylko odwiedzić kolejno wszystkich większych kiniarzy — rzekł chłodno Kalitrich — zrobię to, choćbym miał zginąć z ich rąk. — Dajcie mi kilka reklamowych fotosów — dodał, sięgając po kapelusz.

Kalitrich czuł się dobrze w atmosferze wal-

ukochane pudełko, odfotografowane na wszystkie strony, w wieczornych wydaniach wielu pism. Równocześnie dowiedział się też, co mu się właściwie przydarzyło. Otóż, słynny bandyta Carmagnola dla zmylenia swych wrogów nie zawahał się zaofiarować swego futra nieznajomemu i wysłać go zamiast siebie na śmierć. Tylko przypadek i „France - la - Doulce" go ocaliły.

Odtąd Kron mógł żyć beztrosko. Szczęście się doń uśmiechnęło. Nazajutrz, gdy tylko otworzył oczy, pielęgniarka przyniosła mu pęk czerwonych róż, z których wypadł bilecik:

„Ten dar nie posiada kolców — przeczytał — Proszę go przyjąć bez ubocznych myśli wraz z najlepszemi życzeniami. Przepraszam za to że naraziłem pana na niebezpieczeństwo. Jeśliby Pan czegoś potrzebował, to proszę pamiętać, że mogę zrobić wszystko. Proszę zadzwonić do mego sekretarza, do hotelu „Commodore".

Wielce zobowiązany
Carmagnola".

Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły natychmiast. Kron znalazł się na brudnej uliczce, pokrytej w śniegu. Podniósł kołnierz futra i uszedł dwa kroki; przy trzecim długa, pionowa błyskawica rozdarła ciemności i nastąpiły szybkie detonacje. Kron uczuł dotkliwy ból w kostce i upadł twarzą do rynsztoka... Mitraljeza nie przestawała strzelać, podczas gdy samochód oddalał się...

. . . .

Gdy Kron odzyskał przytomność do jego uszu doszedł przeraźliwy odgłos syreny. Otworzył oczy i ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzał, że pogotowie miejskie zabiera go do szpitala. Pięknie uszminkowane, urocze pielęgniarki, ułożyły go na posłaniu. Mógł mówić o szczęściu, że udało mu się wydobyć się z opresji, gdyż opancerzona kula zraniła go tylko w stopę. Drugi strzał wymierzono do jego pudełka z filmami i jemu to zawdzięczał życie. Stało teraz obok niego na nocnym stoliczku, całe pogięte. Wkrótce Kron zobaczył to

ki, a trudności podniecały jego energję. Stawał się wtedy ruchliwy, jak dziki zwierz.

— Wyrzucą cię razem z fotosami.

— Mnie? — odparł Kalitrich — to ja przecież lansowałem „Pajaców i Narkomanów". W 1927 r. ten film trząsł Europą. Zobaczymy kto zwycięży. Hermeticos, dawaj pan książkę telefoniczną.

Ale tym razem telefon milczał, jak zaklęty. Poczta go zamknęła. Grek machnął rozpaczliwie ręką.

— Dzwonię i dzwonię i nikt się nie odzywa.

Odchodząc od aparatu złożył uroczystą przysięgę, że woli dokonać żywota u mnichów na górze Atos, aniżeli dalej się porać z tem wszystkiem.

Jacobi przemierzał pokój wielkiemi krokami.

— *Assez!* — jęczał. — *Genug! Basta!*

Był tak śmiertelnie znużony, że mu cisnęły się do ust wszystkie cudzoziemskie słowa, których się nałykał podczas burzliwej egzystencji. *Assez!*... — miał dosyć tułania się po

Co robić? Spalić negatyw filmu? Ależ negatyw przepadł. Zresztą kompanje ubezpieczeniowe znają się na tem. Może zamordować d'Annunzia? Zamówić nowy scenarjusz u Mussoliniego?

A gdy tak rozmyślał, ze wszystkich stron Niemiec ciągnęły do Paryża rzesze jego współplemieńców: Benezechowie z Wrocławia, Jungfleischowie z Chełmna, Sachemowie z Katowic... Biedni dalece kuzynkowie z Heilbronn spędzali noce w łazience Jacobiego, a Rothsteinowie z Bautzem, którzy zjawili się wczoraj — zajęli mu pusty garaż. Nie dość tego — wszyscy babeczni siostrzeńcy z Ukrainy i z Mołdawji, którym w konsulatach francuskich odmawiano wiz od lat dziesięciu (cieszył się z tego niepomiernie) teraz wyłaniali się z głębi wąwozów karpackich i spadali na Paryż, podając się za dygnitarzy z Nadrenji.

— Francja jest mała — rozmyślał Jacobi — gdy się to wszystko na nią zwali, to cała tratwa pójdzie na dno... A co jemu, Jacobiemu, pozostanie do zrobienia? Czy na stare lata będzie zmuszony sprzedawać u bram me-

się głęboko. Była godzina szósta wieczorem, najniebezpieczniejsza w Nowym Jorku pora, będąca na pograniczu istotnego podniecenia, wywołanego interesami i podniecenia sztucznego, spowodowanego przez alkohol. Pora ta stanowiła straszną stuminutową lukę, której żaden Amerykanin nie mógł nigdy wypełnić. Kron wahał się pomiędzy czekoladą z pepsyną a sokiem malinowym z kreozotem, jakkolwiek te niewinne napoje nawet z dodatkiem orzeźwiającego kola nie podnosiły go na duchu. A byłoby mu się to bardzo przydało. Od samego rana biegał po wszystkich agencjach filmowych, starając się sprzedać swój film nawet w Broux, ale wszelkie jego wysiłki okazały się daremne. — Niech nam pan pozostawi swój film, na wszelki wypadek a prześlemy panu odpowiedź. — Kron wiedział jednak co ta obietnica znaczy i wychodził natychmiast, przyciskając do gorącego serca zimne, blaszane pudełko. Czyż mógł pozostawić scenę torturowanego Ganelon'a w ręku tych partaczy? Nazajutrz pojawiłoby się na Broadway'u dziesięć filmów, przedstawiających sceny tor-

tur. Na Broadway'u pomysł wykrada się szybciej niż portfel.

(— Nowy Jork i Hollywood — rozmyślał Kron — są największemi zbiorowiskami kradzionych pomysłów, jakie kiedykolwiek w świecie istniały). Stamtąd udał się do pewnego impresarja cyrkowego. Następnie odwiedził jedną z gwiazd base-ball'u a od niej poszedł do sprzedawcy francuskich perfum. Ponieważ wszyscy zbyli go niczem, siedział w danej chwili w aptece, popijając sok ananasowy z fenolem.

Niebawem sama woń tego dezynfekującego napoju zaczęła go przyprawiać o mdłości, więc postanowił pójść się napić czegoś mocniejszego. W ten sposób będzie się mógł obejść bez obiadu. Wybrał się więc na Siódmą Avenue do włoskiej nory, którą mu polecono. Kelner podał mu wino chianti i absynt. Kron wypił wszystko, usiłując nie kosztować ażeby sobie dodać odwagi. Biła dziewiąta; wypił drugi melanż i zrobiło mu się raźniej. Leżący obok niego film w blaszanem pudełku błyszczał w świetle świecznika, jak słońce pod

Austerlitz. Kron doznawał ni stąd ni zowąd wrażenia, że jego podłe interesy wkońcu się ułożą.

— Czy signor widzi to futro?

Właściciel, Ettore, wskazywał mu wspaniałe męskie futro, z kanadyjskich nurków.

— Proszę dotknąć kołnierza... prawdziwe bobry.

— Zapewne jakiś płaszcz skradziony z szatni — pomyślał Kron.

— To futro nadaje się na pańską figurę. Otrzyma je pan pod warunkiem, że wyjdzie pan w nim stąd i to natychmiast.

— Jakto?

— Należy ono do pewnego Włocha, którego pan tam widzi koło lady. Jest on bardzo hojny i jak sobie podpije lubi zrobić komuś przyjemność.

Kron umiał jak wiadomo korzystać ze sposobności. Wstał nie namyślając się.

— Proszę wziąć też z łaski swojej ten zielony kapelusik, a melon zostawić mnie... Tak, doskonale. Wygląda pan, jak miljoner. Tędy, proszę pana.

. . . .

Kron nie omieszkał zatelefonować jeszcze tegoż wieczora do „Commodore". Oświadczył, że pragnie odstąpić o ile możności jaknajprędzej pewien film i nie może znaleźć wspólnika. Po upływie kilku godzin nadszedł list polecający, podpisany dobrze znanym trójkątem sycylijskim. Kron, zaopatrzony w ten cenny dokument, udał się do wielkiego banku „Manhattan Finance Corporation", w Dolnem mieście. Dyrektor przyjął go natychmiast, przeczytał list i zbladł.

— Chciałbym panu pokazać kilka próbek nadzwyczaj interesującego filmu... — zaczął Kron.

— Zbyteczne. Polecenie Carmagnoli to rzecz święta — powiedział dyrektor z kwaśnym uśmiechem.

Kron zauważył ruch jego ręki. Czy sięgał po rewolwer, czy po słuchawkę, ażeby zadzwonić na policję?

Szło o książeczkę czekową.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów wystarczy, — rzekł skromnie Kron.

XXI.

WIELKI POST.

— Jest źle; gominy już niemal ostatkami — zauważył spokojnie Kalitrich.

— Znaleźliśmy się w opłakanych warunkach finansowych — biadał Jacobi.

— Nie można się poddawać... Powiedzmy raczej iż jesteśmy w trudnościach pieniężnych czy płatniczych — sprostował Kalitrich.

— Zawsze kłócicie się o czcze słowa, jak rabini z Salonik — rzekł Hermeticos.

— Ponieważ nie można dostać już żadnej pożyczki z tytułu praw, czy na nazwisko interpretatorów — ciągnął dalej Kalitrich — trzeba sprzedać film, gdzie i za ile się da.

— Ale komu? Nie mamy już co pokazać nabywcom!

— Ale komu sprzedać? Co pokażemy kupcom? Zresztą wiedzą oni dobrze, że nie mamy negatywu. Wszędzie kręcą się ich szpicle.

kują? powiada pan, że Kompanja elektryczna południowego wybrzeża przerwała dopływ światła? Świnie... Chcą pieniędzy? Dwadzieścia tysięcy? A czy oni mają biuro w Paryżu? Tak? Na ulicy Petits Champs? Załatwione. Zapłacimy. Nie niepokój się pan. Za godzinę będziecie mieli światło.

Jacobi powiesił słuchawkę, popatrzał na zegarek i zadzwonił na pannę Lec.

— Miałem tylko co telefon z Beaulieu...

— Jakto? — zdziwiła się sekretarka? — to my jeszcze mamy prawo posługiwać się międzymiastowym telefonem? Przecież z poczty zawiadomiono nas, że jeżeli nie zapłacimy zaległości, zamkną nam telefon.

Jacobi wzruszył ramionami i podpisał czek.

— Idź pani zaraz na rue des Petits Champs. Trzeba jechać taksówką. Kalitrich, czy pan masz dziesięć franków, na taksówkę?

— Nie da rady, nasz rejent jest odporny.

— A pański czek jest bez pokrycia? co? — szydził Kalitrich po wyjściu sekretarki.

— Oczywiście. Ale coś tam przekręciłem. Napisałem „Tow. Elektrowni — a nie

dodałem jednego słówka: „Wybrzeża". Bank nie zapłaci, czek odeślą. Dzisiaj mamy sobotę. W tej chwili jest jedenasta czterdzieści pięć, o dwunastej będziemy uratowani, a od dziś do poniedziałku znajdziemy inne wyjście.

— Ale pan to nigdy nie traci głowy.

— Ten trick jest niezawodny. Zawsze mi się udawał.

— Tak — ale ryzyko duże.

— Co robić... co robić...

— Chyba liczyć na jakiegoś anioła...

W narzeczu członków branży filmowej „anioł" — to niespodziewany kapitalista.

— Przypomnijcie sobie Kergaela... Dobre to były czasy...

— A może podpuścić ładną kobietkę, na pana Tardif'a? Delikatnie obedrze go ze skórki — co?

A propos — pamiętajcie panowie, że on wraca dzisiaj z Ploermel i trzeba będzie przedstawić rachunki.

— Sprzedamy film, sprzedamy film! — Nie ma innej rady...

obcych kątach, spania co noc w innem łóżku, by wprowadzić w błąd wierzycieli, tak jak to czynią rzymscy i południowo amerykańscy tyrani, w obawie przed spiskowcami. W, wtorek spał w „Trianon", w środę w „Majestic", w czwartek w „Napoleon", w piątek w „Carlton'ie", a w sobotę w parku Monceau... Co potem... Potem po okresie finansowych kłopotów, przyjdzie okres zdobywania publiczności obłędną reklamą, trzeba będzie wysilać się na kłamstwa, na fantastyczne superlatywy, a potem — trzeba będzie wystawać pod drzwiami sal kinowych, obserwując publiczność. Tyle wysiłków, tyle trudu, a kto wie czy pomimo to, nie nastąpi likwidacja spółki. Rozpacz! Grobowe de profundis, dzwoniło mu w uszach: — „*Mocą decyzji powziętej przez uczestników nadzwyczajnego, walnego zgromadzenia, towarzystwo „Eter-film" zostaje zlikwidowane... Mianuje się pana X. likwidatorem, któremu udziela się pełnomocnictwa...*

Zdawało się Jacobiemu, że widzi zwęglone szczątki warsztatów filmowych, i kłęby dymu

wzbijającego się, ze spalonych dekoracji, że słyszy skwierczenie taśmy. O — czemuż się dał wciągnąć w tą ryzykowną zabawę z „*France la Doulce*"... Jakto poco? poto żeby płacić, raczej żeby odnowić weksle poprzednich filmów. Właściwie to nie miałby nic przeciwko temu, aby się wycofać, cóż kiedy czarną stroną biznesów załatwianych bez pieniędzy jest to, że się z nich nie można wycofać i że jest się zmuszonym nieustannie walić naprzód.

Jacobi zaczynał żałować dawnych dobrych czasów, kiedy to giełda skazywała na śmierć bankruta, kiedy plajta była dyshonorem i doprowadzała do samobójstwa... W owych czasach przynajmniej można było skończyć z tym pieskim zawodem, skończyć, raz na zawsze...

Haczykowaty nos Jacobiego zwisał smętnie, torby pod oczami nabrały brunatnego odcienia, a chociaż rzadkie czerwone włosy i marszczące się czoło mówiły jeszcze o pewnym wysiłku, to zwiędła, zwiotczała twarz była symbolem starczej niemocy.

Ignacy Kozielewski

Dwie legendy żydowskie o panowaniu w Polsce

Źródliska legend tkwią w dwojakiej rzeczywistości: albo w przeszłości dziejowej, wypowiadając w godzinach niedoli i poniżenia świetność minioną i tęsknoty, pełne nadziei życiotwórczej, ku powrotowi chwały i mocy, albo w duchowości plemiennej, kreśląc dążenia i cele do osiągnięcia, zapowiadając drogi ekspansji narodowej, religijnej i kulturalnej, świadcząc o duchu mesjanicznym społeczności, wypowiadając utajone marzenia.

Spośród wielu legend, tworzonych przez żydów, zamieszkałych w Polsce, przytacza p. Hilary Nussbaum w swej Historji żydów w Polsce *) — dwie legendy o żydach, wezwanych do królowania w Polsce, legendy, wypływające z marzeń i utajonej ekspansji narodowej żydów.

Pierwsza odnosi się do czasów przedhistorycznych, do wyboru legendarnego Piasta, druga do wieku XVI, do czasów bezkrólewia po Zygmuncie Auguście.

Pierwszą historję opowiada Nussbaum za „Historją żydów" Sternberga, wydaną w 1878 r. w Lipsku. Legenda, wedle tej wersji, głosi, że po śmierci Popiela, którego były pożarły myszy, zebrał się lud w Kruszwicy dla wyboru nowego króla; długo nie mogli się wyborcy zgodzić na wysuwanych kandydatów, aż wreszcie zgodzono się pozostawić wybór losowi: ktoby, mianowicie, pierwszy, o brzasku następnego dnia przybył do Kruszwicy, ten miał zostać królem. Rozstawiono straże w cztery strony świata, i pierwszym, kto stanął u mostu nad Gopłem, był żyd Abraham, przezwany Prochownikiem, bo dostawiał do Kruszwicy proch. Wśród radości zaprowadzono Abrama do grodu i zabrano się do okrzyknięcia go królem narodu lechickiego, ale wybraniec losu wzdragał się przed tym zaszczytem; widząc jednak, że na upartych wyborców nie wpłynie, że odmowy jego przyjąć nie chcą, wyprosił sobie dzień do namysłu, by się pomodlić i w modlitwie znaleźć radę — zastrzegł zarazem, żeby mu w modlitwie nikt nie ośmielił się przeszkadzać. Gdy upłynęło jednak dwa dni, a Abraham się nie ukazywał, jeden z ziemian, Piastem zwany, zawołał, że tak dalej być nie może, a skoro wybrany król z chaty nie wychodzi, to on go z niej wywoła. I porwawszy za topór, wywalił drzwi chaty, w której przebywał elekt. Wyszedł wtedy Abraham i zawołał do ludu:

„Oto Piast! Jego wybierzcie na Naczelnika państwa. Posiada on rozum, wiedząc, że kraj długo bez władcy istnieć nie może; posiada równie odwagę, gdyż sprzeciwił się rozkazowi, wydanemu przezemnie, Abrahama, aby nikt nie ośmielił się wchodzić do mej chaty. Powinien zostać królem"...

I wybrano istotnie Piasta.

Nussbaum dodaje, że Sternberg uważa to podanie za „prawdopodobne", powołując się na odnalezione w nowszych czasach brakteaty z emblematami hebrajskiemi i napisami: „Abraham Duchs", „Zewach we Abraham" (ofiara i Abraham) i t. d. Ale sam Nussbaum, jako historyk, powinien był tu wytłumaczyć Sternbergowi i czytelnikom, że owe brakteaty, odnalezione w r. 1872, a pochodzące z czasów Mieczysława III, Kazimierza Sprawiedliwego, Leszka Białego (1173 — 1209), świadczą tylko o tem, że żydzi mieli wówczas wypuszczone sobie w dzierżawę mennice państwowe i ze znanym od wieków swym brakiem taktu pozwolili sobie na monety z napisami hebrajskiemi: mogły być równie owe brakteaty medalami pamiątkowemi, m. in. na znak wdzięczności dla Mieczysława Starego za udzielaną żydom gorliwą opieką; tembardziej powinien był owo „prawdopodobieństwo" sam Nussbaum rozwiać, że obszernie o tych menniczych sprawach na str. 26 i 27 swego dzieła się rozwodzi. Najwidoczniej jednak historyk dał się tu uwieść poetyckiej wizji, trzeba przyznać, bardzo pociągającej...

Swoją drogą, ta legenda to tylko odmiana znanej legendy o Piaście; tylko miejsce aniołów, rozmnażających chleb, zajął Abram, sprowadzający proch, napewno nie ku wzmożeniu pokojowych dążeń Lechitów.

Bardzo ciekawem jest zakończenie żydowskiej legendy o Abramie Prochowniku.

Przewidujący kupiec, mimo, że mu się musiała uśmiechać rola, jaką mu ofiarował los, pragnący pokarać niezgodę i głupotę Lechitów, wolał poczekać, co z tego będzie i wypróbować nowy swój lud, czy też naprawdę jest tak niemądry, leniwy i cierpliwy, jak się zdawało. Zamknął się więc na trzy dni modlitwy! I okazało się, że dobrze przewidywał, bo energiczny Piast, zirytowany zachowaniem się lechickiego elekta porwał za siekierę i wtargnął do chaty Abrahama, czem natychmiast spowodował swój wybór na króla.

Druga legenda powstała, wedle p. Nussbaum, w końcu XVII wieku. Jest ona w swej osnowie powtórzeniem pierwszej:

„Pewnego razu, w czasie jednej elekcji, nie zgodna co do obioru szlachta, zgodnie uradziła była, aby tymczasem wziąć za króla przechodnia, który się pierwszy na trakcie ukaże. Saul właśnie ze świtem nadjechał był na swej bryce, jego więc tymczasem powitano królem".

Szczególem nowym jest nie zamiar dopiero obwołania królem, ale obwołanie. „Stąd Szoel - Boel, Saul Pan, wszędzie wymieniany"; stąd „powszechnie jest między żydami powtarzane, że jeden z nich był dorywczym, jednodniowym królem polskim"; „stąd między żydami niemieckimi przysłowie: „Das wird nicht länger dauern, als Saul Wahls Königthum".

Przysłowie niemieckie posuwa sprawę, bo przytacza nazwisko jednodniowego króla Polski: Saul Wahl. I tutaj oddajmy głos dziełu p. Nussbauma, które prawi, że „o królach, losem... do tronu powołanych, od wieków nie brakło zapisków... możnaby tedy było mniemać, że Szoel Boel jest tych przypomnień dziwnym odgłose mi odnosi się do wieków zamglonej przeszłości, ale tak nie jest, jak nas objaśnia uczony Jolowicz".

Otóż właśnie: tak nie jest! Szoel - Boel nie odnosi się do wieków zamglonej przeszłości, tak objaśnia „uczony Jolowicz". Podążmy więc za Jolowiczem. „Wyczytał on w rękopismach biblioteki Oxfordskiej i w niejakich drukach", że był we Włoszech, w Padwie rabbi Samuel, którego syn Saul kolegował na uniwersytecie padewskim z jakimś Radziwiłłem. Ten, straciwszy wszystkie pieniądze, pożyczył od Saula syna Samuela i z wdzięczności zaprosił go do Polski, do siebie. Saul nie odmówił i razem z Radziwiłłem — kolegą wyruszył do Polski, gdzie, osiadłszy w Brześciu, przy protekcji Radziwiłła do wielkiego majątku i wielkiej wziętości doszedł, a bardzo dużo robiąc dla żydów, dzięki stosunkom i pieniądzom, nie przestawał być „wojewodą Izraela, jak utrzymują jego najbliżsi i współcześni", do końca swego 80-letniego żywota, a umarł koło 1620 roku.

Temu to Saulowi z Brześcia wydarzyło się, jak opowiada (str. 194) p. Nussbaum (podobno za Lelewelem), że, gdy wszedł w zażyłość z Radziwiłłem, a podczas nadeszłego po śmierci Zygmunta Augusta bezkrólewia „magnaci nie mogli się zgodzić na obiór, na wniosek Radziwiłła wynieśli miłowanego przez siebie Saula na prezydenta elekcji i interrexa, na jednonocnego tymczasowego króla, proviso rischer König i powierzyli mu akta koronne, w które on wpisał dogodne dla Izraela postanowienia, a między innemi, że zabójstwo żyda ma być śmiercią karane. Z tego wynikło, że Saul i potomkowie jego otrzymali nazwisko Wahl, niemieckie, znaczące obiór, obranie..." Historyk „Carmoli, mówił dalej (za Lelewelem) p. Nussbaum, upewnia, że rodzina Wahl przybyła nie z Padwy do Polski, ale z Niemiec i że spowodu jej nazwiska Wahl całą tę powieść wydowcipkowano i z niej przysłowie niemieckie powstało".

Choć to wszystko „wydowcipkowano" wcale ciekawie, skoro kazano Saulowi skorzystać ze sposobności i wpisać „dogodne dla Izraela postanowienia" do akt koronnych, które chwilowo Saul Wahl do rąk dostał, jest rzeczą zastanawiającą, że w ową bajkę o królowaniu czy o wpływie na elekcję Saula Wahla uwierzyli ludzie, którzy skądinąd powinni byli być trzeźwiejsi, bo oto czytamy dalej u Nussbauma (str. 194), że w Londynie niejaki „Denis Mozes Samuel Esq, potomek Saula Wahla — wie, że... on wprowadzał podobno 1537 r. (?!) Zygmunta III do Krakowa". Wyjaśnia tę zagadkę chronologiczną dzieło także... Anglika, p. Hirscha Edelmana, który opierając się na materjalach, dostarczonych mu przez owego Mozesa Samuela Esq., wydał po angielsku w r. 1854 monografję jego protoplasty Saula Wahla. Do tej biografji zbierał materjały i w Polsce.

„I tak, jakiś Rubinstein z Grodna — mówi p. Nussbaum — podaje, jakoby Radziwiłł przedstawił wyborcom, po śmierci Zygmunta Augusta, swego Saula na prezydenta wyborów, do którego należała atrybucja wprowadzenia nowego króla do Krakowa; gdy więc Zygmunt III wybrany został, Saul Wahl, jako prezydent i interrex, z Zygmuntem do Krakowa pojechał..." (str. 195).

Podobnie niejaki p. Katzenellenbogen, równie potomek Saula Wahla, napisał do p. Hirsza, że gdy się zaczęła agitacja wyborcza „władza leżała w rękach Saula, który czynił starania w interesie Zygmunta, a gdy Zygmunt się utrzymał, Saul starał się uspokoić przeciwników. Dlatego Zygmunt darował mu złoty łańcuch z herbem, który miały prawo nosić tylko osoby, należące do królewskiego domu. Saul wyjednał dla żydów pozwolenie stawiania synagóg, wyższych nad szczyty innych domów i t. d...." (str. 196).

Ta historja jednodniowego króla Polski zajmowała wyobraźnię jego rodaków, bo sporo o tem pisano w swoim czasie.

Bardziej rozsądny motyw przebija w wywodach na ten temat w „Izraelicie lwowskim" nieznanego bliżej p. Goldbauma, że „gdy dzień elekcyjny nowego króla polskiego minął i książe Radziwiłł faktora swego, mądrego Saula, wysłał, by oporne głosy wymową swą poskromić się starał, błysnęła wtedy myśl postawienia tymczasem na czele figury Radziwiłła, aż się namiętności uciszą i król będzie obrany..." (str. 196).

Jak dalece jednak żydzi uwierzyli w legendę o Saulu — królu, tego najlepszym może być dowodem wzmianką, jaką znajdujemy w tejże Historji Nussbauma, że „babka ziomka naszego, adwokata Lublinera, z rodziny owego Saula pochodząca, powtarzała, że w Siemiatyczach przechowywany jest dokument, złotemi literami pisany, który o zaszczycie ich przodka dostatecznie upewnia..." (str. 193); trzeba dodać, że dzieło p. Nussbauma wyszło z druku w r. 1890.

Nussbaum przytacza za Berszadskim — historyczne dane o tym Saulu synu Judy (czyli Judyczu) z Brześcia. Zwykła to karjera popieranego przez magnatów żyda, robiącego wielkie pieniądze na dzierżawach ceł i na handlu i wyzyskującego swoje znajomości dla dobra swoich współrodaków, co jest naturalne. Ale i sam p. Nussbaum w głębi duszy widocznie tęsknił do obrazu, jaki legenda roztacza, skoro, nawet jako historyk, tak to ujmuje:

„Oceniając... naiwną legendę, dojdziemy do historycznego prawdopodobieństwa, że Saul Wahl w czasie bezkrólewia wpływem swoim poważnym przyczynił się do wyniku elekcji, w której agitacja inteligentnego i poważanego obywatela - żyda okazała się potrzebną..." (Str. 198) Tak! Przyczynił się do wyniku elekcji...

*) Hilary Nussbaum: Historja żydów, tom V, Warszawa 1890, str. 2, 189 — 198.

L. Całkosińska

Wirginja Woolf

O, gracje, życia wdzięk was uwiódł!...

Ilekroć czytam te słowa, przypominają mi się trzy gracje Anglji, pochylone nad zwierciadłem życia: proustystka W. Woolf, Katherine Mansfield ze szkoły Czechowa i najmłodsza Rosamond Lehmann z laboratorjum Woolf — Mansfield. Głoszą one ten sam impresjonistyczny realizm, stojący na pograniczu snu, ten sam kult życia i mimo różnic, gdy Mansfield pisze: „My, Wirginjo, wykonujemy ten sam zawód i to takie ciekawe i zachwycające, że każda z nas ze swej strony ściga niemal że ten sam cel" — trafność uwagi uderza. Więcej nawet, możnaby rzec, że Katherine Mansfield jest w swej początkowej fazie idealnym „typem" powieściowym Wirginji Woolf.

Mansfield mówiącą: „O, jakże zawód artystyczny pasjonuje. Co można z nim porównać? I czego więcej pragnąć?", Mansfield, której rozum wzbrania się przyjąć istnienie Boga, zasugestjonowaną sprawnością intelektu, Mansfield piszącą: „Życie! O, jakżeż życie jest piękne z chwilą, gdy mu się oddamy", Mansfield powtarzająca zdanie Czechowa, że wystarczy stawiać problemy, niekoniecznie je rozwiązywać — to Katherine Hilbery, lub któraś z innych bohaterek Wirginji Woolf. Tylko że w miarę, jak uchodzi z niej życie, opadają podobne niepotrzebnym sukniom żądze, pragnienia, uwielbienie umysłu nieoświeconego duszą i cichutki panteizm Mansfield przekształca się w mistyczną wiarę. K. Mansfield składając drżące serce u stóp odkrytego Boga, schodzi z drogi, wytyczonej przez intelektualizm Woolf — i opuszcza ją, jak odpływający na nieznane morze okręt, bez pożegnania, bez sygnału. Odchodzi, ale miejsce jej zajmuje zastęp młodych pisarzy, którzy w artystycznych postulatach Wirginji Woolf widzą prawdziwą drogę powieści angielskiej i rzucenie rękawicy wielkim nazwiskom Anglji literackiej.

To życie, tylko życie ma znaczenie, jedynie postęp, dokonany na drodze do odkrycia, ma sens. Wieczny, nieustający postęp, a nie samo odkrycie — woła, przebiegając ulice Londynu Katherine Hilbery — tylko życie. Ten okrzyk bohaterki „Night and Day" (Wirginji Woolf) jest niejako wyznaniem wiary młodej Anglji literackiej. Jedno życie do przeżycia, dni i noce drobnych wydarzeń, zamkniętych nieodwołalnie klamrą śmierci. Nic pozatem. Bo agnostycyzm W. Woolf jest cechą jej współczesnych. W tych warunkach jednostka, pozbawiona boskiego pierwiastka, poddana ogólnym prawom, straciłaby bez nowych wartości cenę. Dla Woolf zamykają się one w intelekcie. To nie, że żyję ograniczoną ilość czasu — powiada — to nic, że zrzekam się tego wszystkiego, czego nie potwierdza z matematyczną dokładnością wiedza. We mnie jest wieczność. Przestrzeń i czas naginam według fantazji, zatrzymuję je w biegu, odtwarzam przeszłość. Umysłem przenikam w inne, zespalam się w jedno z plamą świetlną, chwilą, przyrodą. We mnie jest wszechświat, ja jestem wszechwiedzą!

Ażeby zrozumieć wpływ W. Woolf na jej współczesnych, jej ostateczne zerwanie z dotychczasową metodą i formą, nie wystarcza znajomość jej utworów. Tak np. „Przejeżdżka do latarni morskiej" nietylko wprowadza w myśli czytelnika chaos, lecz w wielu wypadkach odsuwa raz nazawsze od lektury Wirginji Woolf.

Wyobraźmy sobie, że weszliśmy do nieznanego zaludnionego obcemi twarzami domu, że w ciągu paru letnich godzin dane nam jest poznać przelotne ich myśli, wspomnienia, opinje, żyć w atmosferze skondensowanego intelektu i impresji... Podobni przygodnym gościom, wyciągamy z urny losów świstki ludzkich przeznaczeń... Nie, „Przejażdżkę do latarni morskiej" trzeba poznać, choćby dlatego, że jest ostatecznym wyrazem metody artystycznej Woolf, ale czytajmy ją po poznaniu całokształtu jej twórczości. Czytajmy po lekturze „Dnia i Nocy" i „Fal".

„Określić nasze pretensje względem pisarzy poprzedniej generacji trudno — pisze W. Woolf, krytyk, pisarka i wydawca w jednej osobie. — Ostatecznie nazwalibyśmy ich materjalistami. A to dlatego, że zajmują się nie umysłem, lecz ciałem... Przyczepiając ich książkom „materjalistyczną" etykietę, chcemy rzec, iż piszą o rzeczach bez znaczenia, zużywając kolosalny talent na przedstawienie pozorów za prawdę. Ilekroć zamykamy te powieści, wzdychamy, pytając: Czy warto było? I poco? Co za tyran zmusza nas do stwarzania intrygi miłosnej historji? Czy życie jest takie? Czy tak powinny wyglądać powieści? Wejrzyjcie w nie — a życie okaże się bardzo dalekie od tego. Zbadajmy przez chwilę przeciętny umysł i dzień powszedni. Umysł otrzymuje miriady wrażeń — banalnych, fantastycznych, przelotnych lub wyrytych niby ostrzem stali. Nadchodzą zewsząd, nieustanny deszcz niezliczonych atomów. A w miarę jak padają, w miarę jak łączą się celem utworzenia życia poniedziałku, i życia wtorkowego — akcent lokuje się odmiennie. „Moment doniosły" nie jest już tu, lecz tam. W ten sposób, że gdyby pisarz był wolnym człowiekiem, a nie niewolnikiem, gdyby mógł pisać o tem, co mu się podoba, a nie to, co musi, nie byłoby intrygi, ani komedji, ani tragedji, ni historji miłosnej czy konwencjonalnej katastrofy jak w realistycznej powieści. Życie nie jest serją lamp, ustawionych symetrycznie, życie jest świetlistym nimbem, zasłoną nawpół przejrzystą, otulającą nas od narodzin świadomości. Czyż obowiązkiem pisarza nie jest uchwycenie tego zmiennego umysłu? Uchwycić nieznany umysł, źle odgraniczony, aberacje lub kompleksy, jakie może przedstawiać wraz z możliwie najmniejszą ilością zewnętrznych faktów. Nie przemawiamy wyłącznie w imię odwagi i szczerości, usiłujemy tylko wytłumaczyć, że prawdziwa materja powieści różni się nieco od tej, do jakiej przyzwyczaiła nas pewna konwencja".

I wróżka Wirginja ze skomplikowanej materji intelektu i impresjonizmu wycina przedziwnie żywe sylwetki. Nieomylnie i pewnie żegluje pomiędzy rafami naturalizmu i sentymentalizmu, z czasu i przestrzeni czyni powolne sobie narzędzia, dzięki którym wzmaga się nasycenie myśli ludzkiej. Jeden chyba Giraudoux potrafi wzbudzić w czytelniku to ustawiczne napięcie uwagi i poczucie intensywności życia. Jeden Giraudoux potrafi tak ożywić na krótką chwilę przedmioty, wzbudzić rzeczywistą świadomość niezbędności tej plamy, czy cienia, padającego na mur, lub kompletnej nieobecności rzeczy niedojrzanych. A równocześnie czy właśnie to nie jest rzeczywistością? Kto z nas nie czuł choć raz w życiu zawieszonej w biegu chwili? Kto nie przechodził przez tłum, pogrążony w rozmyślaniach, obojętny i nieświadomy otaczających go rzeczy, tak jak Katherine Hilbery, rozstrzygająca dylemat wspaniałej samotności, czy szczodrej ekspansji.

Sporo jest rzeczy, za które W. Woolf nie lubię (wspomnę o tem omawiając kiedyś jej powieści), ale bez porównania więcej jest takich, które mi się nieskończenie podobają. Chociażby stosunek jej do swych „ludzi". Jest lojalna i uczciwa, nie prowadzi ich do eksperymentów fizycznych, które zdaniem tylu pisarzy, winny uzupełniać pojęcie życia, nie dręczy i nie znęca się nad duszami — może dlatego, że jest chłodnym intelektem, ale intelektem o ogromnej percepcji wrażeń, intelektem kąpiącym się w fantazji. Gdy bohaterowie rozstrzygają dylemat samotności lub ekspansji, odrębności jednostki czy możliwie najbliższego kontaktu z życiem — czujemy, że jest w tem narówni z nimi zaangażowana, że usiłuje wyplątać myśl z kokona i dać jej właściwy kształt. I dlatego może, dzięki tej współpracy, jej bohaterowie są tacy prawdopodobni i żywi.

Pojechać do Londynu i nie spotkać Katherine Hilbery, błądzącej po jesiennych skwerach, być na Cheyne Walk i nie znaleźć domu Mrs Hilbery, dźwigającej z takim wdziękiem ciężar zaszczytu, iż była córką wielkiego poety, to rozczarować się tak, jak ów marynarz z Melbourne, który przybył w odwiedziny do p. Coperfielda. Tak, prawdopodobnie najbardziej byłoby mi żal Mrs. Hilbery (Night and Day), pozornie nieżyciowej, obróconej w przeszłość, zasłuchanej w głosy, w poezję, a nieomylnej w sprawach serca. Jest to jedna z tych wyjątkowych istot, które, o ile się nie mylę, W. Woolf stworzyła z miłością, niepozbawioną pewnej pobłażliwości. Mrs. Hilbery w swym salonie londyńskim jest tak na miejscu, że niemal niezbędna. Lubię ją zawsze, gdy głaszcząc książki, przeskakuje z tematu na temat:

— Są książki, które żyją. Razem z nami są młode i z nami starzeją się. Lubi pan poezję mr. Dunham? Co za absurdalne pytanie. Prawdę mówiąc, to drogi pan Forteresene „zdemolował" mnie kompletnie. Taki jest wymowny i dowcipny. Umysł ma tak przenikliwy i głęboki, że po pół godzinie mam gorącą ochotę zgasić światło. Ale może w ciemnościach byłby jeszcze wspanialszy. Jak sądzisz, Katherine?... — gdy pisząc biografję ojca, wtrąca opis Hebryd. — „Czy twój dziad był na Hebrydach? — pyta błagalnie córkę. — Hebrydy prześladują mój umysł, tak że nie mogłam pohamować się od krótkiego opisu. Może ten ustęp umieścić na początku rozdziału?" — gdy wstrząsa się wobec brzydoty ludzkich postępków i odgaduje w Denhamie poetę, gdy z nieomylnym instynktem doprowadza parę młodych, zagłębionych w dociekaniu prawd życia marzycieli — do zgody.

W galerji Wirginji Woolf pani Hilbery jest jedną z najżywszych postaci. I jest to może największą miarą talentu Woolf, że wprowadziwszy w grę przedewszystkiem intelekt, potrafiła osnuć go w ludzkie, pulsujące życiem ciało.

Czy odkrycie grobu Rolanda?

W hiszpańskim kraju Basków na pagórku Roncevalle stoi cichy klasztor; stoi on na miejscu, z którem jeszcze dziś związana jest znana legenda. Jeszcze dziś żyje tu duch dzielnego Rolanda, siostrzeńca i paladyna Karola Wielkiego. Tu Roland miał być zdradzony przez Ganelon'a i zabity przez Saracenów. Jedynym śladem i wspomnieniem po bohaterskiej śmierci Rolanda i jego jedenastu towarzyszy były dotąd ruiny kapliczki, znajdujące się nieopodal klasztoru. Niedawno postanowiono na tem miejscu postawić pomnik Rolanda. Podczas robót ziemnych, natrafiono na grób, w którym leżało 12 szkieletów olbrzymiej wielkości. Ustalono, że wszyscy polegli w boju, bo brakowało im czaszek, rąk albo nóg. Wiadomość o wykopalisku rozeszła się wkrótce po całej Hiszpanji. Ze wszystkich stron przybyli historycy i archeologowie. Ludność okoliczna wierzy święcie, że to jest naprawdę grób Rolanda. Cieszy się ona, że legenda, która przechowywała się w ich rodzinach z pokolenia na pokolenie, nareszcie znalazła potwierdzenie. Okoliczni burmistrze spodziewają się już wielkiego napływu turystów i robią przygotowania na ich przyjęcie. Cóż natomiast mówią uczeni? Pan José Mana de Unarté, dyrektor archiwum Nawarry, jest zupełnie przekonany, że szkielety są pozostałościami po paladynach Karola Wielkiego. Wskazuje on na to, że kościotrupy leżą pod murem, który mógł być zbudowany dopiero w 12-ym wieku. Olbrzymi musieli więc być tam pochowani jeszcze dawniej. Natomiast badacz florencki, pan Benedetti, obawia się właśnie dlatego, że mogą to być tylko szczątki dwunastu zakonników. Jednak wszystko wskazuje niewątpliwie na to, że rzeczywiście chodzi o to doniosłe odkrycie historyczne. W każdym razie jest to tłumaczenie najprostsze i zdaje się najsłuszniejsze.

Alfred Jesionowski

Skok poprzez epokę

Do obfitej już kolekcji wrażeń polskich pisarzy z Rosji Sowieckiej przybyły świeżo dwa nowe tomy, różne w ujęciu i podejściu do ciekawego dzieła realizacji nowego ustroju społecznego, różne także w swej wartości artystycznej, obydwa godne uwagi i bliższego poznania. Autorka „Dymów nad Azją"[1]) dała się dotąd poznać z udanych tłumaczeń, Melchior Wańkowicz, autor „Opierzonej Rewolucji"[2]) ma już swą kartę w naszem piśmiennictwie. Jego „Strzępy Epopei" i „W kościołach Meksyku" cieszyły się zasłużonem powodzeniem. Nowa praca Wańkowicza, daleka od wszelkiego szablonu, wysuwa się bezsprzecznie na czoło polskich publikacyj tego rodzaju o Rosji sowieckiej. Autor, świetny stylista, znakomity narrator, głęboki i przenikliwy obserwator, zabrał się do sformułowania swych wrażeń o Rosji Sowieckiej z pełnią odpowiedzialności za to, co pisze, nie powtarza dobrze znanych szczegółów, oklepanych zarzutów i również oklepanych okrzyków bezkrytycznego entuzjazmu, nie przybiera pozy nieomylnego znawcy i wyroczni. Zwiedziwszy kawał świata, napatrzywszy się na wiele zdumiewających rzeczy w świecie — nie uległ „epatowaniu", a znając dobrze Rosję przedwojenną i język rosyjski — miał ułatwioną do pewnego stopnia sytuację w poznawaniu nowej rzeczywistości, mógł dokładniej i pełniej zdać sobie sprawę z dokonanych zmian.

Autor obrał sobie jako punkt wyjścia w ocenie obecnego stanu realizacji wielkich reform socjalnych w Rosji zdanie i sąd przeciętnego obywatela Z. S. R. R., odrzuciwszy na bok wszelkie dotychczasowe „racje", to jest sposoby oceny, kategorje zarzutów, jakie dotąd bywały w kursie. Odrzuca więc „rację najtańszą" (propaganda rosyjska osłania istotny stan rzeczy), i „rację bezwzględną" (w Rosji wszystko jest imponujące in plus i in minus), i „rację niepokojącą" (Rosja mogła się rozwinąć, bo nie ciążyły na niej żadne długi, posiada nieprzebrane bogactwa i olbrzymi materjał ludzki), odrzuca „rację objektywną i subjektywną" (Rosja, to kraj bezmiernych cierpień, nędzy mieszkaniowej, nędznych zarobków, myśli w kleszczach), wreszcie „rację ad absurdum" (brak bodźca osobistego musi ten system załamać). „Podejdźmy do obywatela, zobaczymy w jakiem tempie płynie przez niego ten prąd (przebudowy społecznej). Oto jedyny skromny miernik, który mógł ze sobą wziąć przeciętny dziennikarz bez zbyt wielkiego przygotowania, jadąc na 7 dni tylko i tylko do Moskwy" (str. 108) Tę postawę rozmówcy z przeciętnym obywatelem Z. S. R. R. zachowuje autor jako punkt oparcia swych spostrzeżeń poczynionych w Moskwie i przyznać trzeba, że efekt jest niezwykły. Książka Wańkowicza budzi zaufanie co do prawdziwości przedstawionych zagadnień i obserwacyj, rzuca wiele nowego światła na sprawę, do której przeciętny zjadacz chleba w Europie odnosił się conajmniej z wielkim sceptycyzmem.

Dzięki tej postawie autora giną w jego relacji nieodzowne akcesorja opisów Rosji Sowieckiej, do których czytelnik dotąd był przyzwyczajony, ustawiczne podkreślenie: u nas — u nich, gigantyczność — małość, ginie poprostu „zewnętrzność" — a pozostaje refleksja, pogłębiona obserwacja, rozmyślania na temat doznanych wrażeń w zetknięciu się z obywatelem sowieckim. Naszym oczom ukazuje się więc przedewszystkiem robotnik: robotnik orjentujący się świetnie w całokształcie zamierzeń ekonomicznych, krytycznie patrzący na wysiłek własny i swych kolegów, robotnik zmizerowany, ale znoszący tę nędzę jako coś chwilowego, absolutnie pewny lepszego jutra, sprawiedliwy w ocenie sytuacji, robotnik głodny wiedzy, więc ustawicznie dokształcający się, nie palący się do „udarnictwa", ale stający się szturmowcem, w przekonaniu, że wymaga tego od niego plan ekonomiczny, że przyśpieszy tem realizację nowego ustroju społecznego.

Porównanie robotnika naszego z robotnikiem sowieckim nie wypadłoby na korzyść naszego. Tamten jest fanatykiem pracy z całą świadomości wartości jej, jakkolwiek nie daje mu ona bezpośrednich korzyści osobistych, tamten znalazł stabilizację swego położenia, z tem, że położenie to z każdym rokiem jest lepsze, tamten nie widzi rażących nierówności społecznych i majątkowych.

Obserwator zagraniczny słucha tego robotnika z niedowierzaniem, w oczach staje mu zbytni prymitywizm jego położenia, jego nędza, liche odzienie, skromne pożywienie, niedostateczne mieszkanie, ale ponieważ „to na nich miljonach obywateli żłobią się wszystkie niedopatrzenia, niedociągnięcia", ponieważ „i c h zdanie jest wypadkową wszystkich plusów i minusów, wypadkową zrobioną w pilnym i tak drobiazgowym obrachunku codziennym, jakiegoby nie zrobił najsumienniejszy korespondent, skoro dalej u nich, u tych, którzy płacą za eksperyment, obrachunek kończy się saldem dodatniem, to cóż ma do powiedzenia obserwator ze strony? — Musi skłonić głowę i powiedzieć sobie: dla stworzenia wielkich rzeczy potrzebny jest materjał i praca. Surowca Rosja ma w nadmiarze. Skoro ma za sobą człowieka — to sprawa rozwiązana jest pozytywnie". (str. 114).

Czy mimo tych słusznych przesłanek jednak wniosek nie jest przedwczesny? Zważmy, że autor był tylko w Moskwie! — Jednak jeśli wniosek nie jest całkowicie słuszny, to jest on zastanawiający i pozwala absolutnie na rozciągnięcie go na znacznie szerszy obszar. Bo to nie ulega wątpliwości, w Rosji dokonano dużo, nawet bardzo dużo, szczególnie jeśli chodzi o przemianę wewnętrzną ludu. I to właśnie podkreśla Wańkowicz szczególnie, i to podkreślenie stanowi główną wartość tej niezwykle zajmującej książki, świetnie i obficie ilustrowanej rysunkami Czerniaka, fotografjami Zelmy, Debabowa, Mikulinej i in., fotomontażem Kleinna, przerywkami i winietami, wziętemi z wydawnictw sowieckich.

Na szczególną uwagę zasługuje barwny styl, brak jakiegokolwiek gadulstwa, subtelny humor, szeroka skala zainteresowań i umiejętność przykuwania czytelnika. Książkę czyta się jednym tchem.

Wańkowicz i Wanda Kragen byli w jednym czasie w Moskwie, mieli możność patrzenia na te same rzeczy, ale jakoś to zupełnie różnie wypadło. Autorka „Dymów nad Azją" nie wyszła poza opisy zewnętrzne rzeczy i spraw skądinąd dobrze już znanych: hotele —ludzie na ulicy—w tramwaju — głód towarów (ta część poparta cyframi porównawczemi), — mieszkania i t. p. Wanda Kragen jest w owych opisach po kobiecemu — drobiazgowa, ale wynajduje drobiazgi interesujące, podaje je z żywym podziwem dla Rosji Sowieckiej. Rozmowy, jakie autorka przeprowadza z obywatelami sowieckimi, nie mają tego pogłębienia, co u Wańkowicza, jest to ślizganie się po powierzchni, często bez zrozumienia istoty rzeczy. Mowa o mieszkaniach. Autorka stwierdza: „Dla tych ludzi mieszkanie nie jest najważniejsze, nic nie jest ważne z rzeczy, które dla nas są ważne. Ciężki przemysł jest ważny!" — Nie o ciężki przemysł im chodzi, lecz o realizację wytkniętego planu, co się stało ambicją i ideałem każdej pracującej jednostki, i to wraz z nadzieją, że będzie lepiej, stanowi bodziec do pracy, doprowadza do dobrowolnego wyrzeczenia się tego wszystkiego, co „dla nas jest ważne".

W wielu interesujących spostrzeżeniach spotykają się Wańkowicz i autorka „Dymów". („Standart życiowy" obywateli sow. — wyrównał się. Niema miljonerów i nędzarzy, niema potwornego, obłąkanego zbytku jednych i śmiertelnego głodu drugich. A wszędzie „naczalnik" siedzi w ciasnym, bylejakim pokoju, z kilkoma innymi towarzyszami, bez perskich dywanów i rzeźbionych biurek...). I te, zgodne relacje pozwalają na wytworzenie sobie pewnego, już dość dokładnego obrazu o tem, co się w Rosji Sow. dzieje. Druga część książki, która całości nadała tytuł, opis Kuznickostroju, nie jest szczególnie ciekawa, nic nowego, poza zewnętrznym opisem tego nowego wyczynu sowieckiego, nie przynosi.

W porównaniu z świetnemi relacjami Wańkowicza — książka Wandy Kragen jest znacznie słabsza, nie mniej godna przeczytania. Odznacza się kulturą pisarską, stylem potoczystym i lekkim, napisana jest szczerze i zajmująco.

[1]) **Wanda Kragen**: „Dymy nad Azją". Warszawa, 1934. „Rój". — Serja nowa, str. 243.

[2]) **Melchior Wańkowicz**: „Opierzona rewolucja". Warszawa, 1934. „Rój". — Serja nowa, str. 229. Obficie ilustrowane.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Wizje przyszłości

Mecz Polska — Niemcy w r. 1936

Nie mogąc się dostać na mecz Polska — Niemcy, spowodu niebywałego natłoku, postanowiłem wysłuchać transmisji meczu przez radjo. Włączyłem kontakt, w głośniku zawrzało, jak w ulu. Trwała zaciekła walka przy polskiej bramce. Na tle nieustających ryków kilkunastu tysięcy gardzieli, rozlegał się donośnie głos pana Trojanowskiego:

— O, Jezu! do przerwy jeszcze tylko dwie minuty, oj, żeby jakoś Bóg uchronił nas od drugiego gola. Hinclerowi udaje się odebrać piłkę Mydlarczykom, Napierała nie może go dogonić, Hincler podaje piłkę Himmelsztosowi, ten podaje ją łysemu Benderowi, łysy wali prosto na naszą bramkę... oj... oj... o rety! Półfontowicz go nie widzi, stoi w bramce obrócony w drugą stronę, czyści sobie paznokcie... Niemiec strzela!! Trafia! Gol!! 2:0 na korzyść Niemców... O, Jezus Marja!! Cóż za hańba!! I to w ostatniej minucie! Sędzia gwiżdże na przerwę. Żeby choć o pół minuty wcześniej... Niemcy wyją z radości, machają chorągiewkami, lecą do góry kapelusze, laski, walizki...

— Teraz jest przerwa. Stadjon wypełniony po brzegi, głowa przy głowie... ocean głów, nawet na sąsiednich dachach, balkonach, nawet z kominów wystają głowy...

— Widzę w lożach znane osobistości, siedzi pan premjer, ministrowie, widzę jenerała Wieniawę Miedzińskiego, siedzą akademicy literatury Sieroszewski, prof. Zieliński, Mirjam, obok Stpiczyński, są też osoby ze świata artystycznego, widzę zdaleka Dymszę, Lawińskiego, wszyscy siedzą smutni i przygnębieni, na rządowych trybunach flagi opuszczone do połowy masztu, jakaś pani nawet w żałobie... Zaczyna padać deszcz...

— Rozlega się gwizdek sędziego, gracze stają na swoich miejscach, ach, żeby się zdarzył jakiś cud, ach... Napierała wykopuje piłkę, którą łapie Bartyna, podbija ją na głowie, oj, oj... nawija się Hincler, sytuacja staje się groźna, piłka już na naszej stronie. Na pomoc biegną bracia Mydlarczykowie Są dziś w dobrej formie, zawsze grają razem. Rrrany Boskie!! Oj, oj, proszę państwa teraz była groźna chwila, Himmelsztos strzelił, ale nasz dzielny bramkarz Półfontowicz wspaniałą robinzonadą rzucił się i przytrzymał piłkę, wykopuje ją na środek boiska. Uch, pot leje się ze mnie... muszę wytrzeć czoło, ach, nie, to nie pot, — to deszcz leje. Oj... znowu nadlatuje ten łysy Bender, no, na szczęście nasz dzielny Napierała ubiegł go w porę i wykopał piłkę na aut. Poleciała aż na trybuny, właśnie minister Rajchman odrzuca ją spowrotem na boisko. No... całe szczęście. Oj, to była gorąca chwila...

W chwili, gdy prelegent ociera spocone czoło, w głośniku rozlega się wrzask nie do opisania, a pan Trojanowski woła:

— Proszę państwa, stało się coś okropnego, zanim zdążyłem się obejrzeć, nadleciał znowu ten łysy Bender i... i strzelił trzeciego gola!! O, Jezus Marja!! cóż za hańba... 3:0 na korzyść Niemców. Publiczność niemiecka wyje z zachwytu, machają chorągiewkami ze swastyką, ano nie trzeba się dziwić, manifestują swoją radość. Znów lecą w górę kapelusze, laski, parasole... Boże, Boże, co za wstyd... Polacy siedzą, jak skamieniali, deszcz przestaje padać, na niebie ukazuje się tęcza, może to nadzieja dla nas, może jakiś cud, och!...

— Rozlega się gwizdek sędziego, wykopuje piłkę Mysiewicz, podaje ją braciom Mydlarczykom, to bardzo dobrze, łysy Bender stara się wybić im piłkę spod nóg, wreszcie mu się to udaje. Publiczność niemiecka woła: „Ra, Ra, Ra!! Ger-mani-ja!!" Nasi wołają: „Polska gola!!". Oj, żeby się sprawdziły te słowa, piłka jest znowu w naszych rękach, przepraszam w nogach... ale nasi chłopcy są już zmęczeni, wątpię czy uda im się nadrobić przegraną... Mój Boże... pokazuje się słońce, może ono pomoże. Uwaga... Napierała prowadzi, osłaniają bracia Mydlarczykowie, dobra nasza, Napierała podaje piłkę Wilanowskiemu, ten podaje Mysiewiczowi, Mysiewicz oddaje spowrotem Napierale, który skolei przekazuje ją Wilanowskiemu. Górą Wilanowski, niech żyje! Brawooo!! Nasi ryczą z zachwytu. Nagle nadbiega znowu ten łysy Bender i usiłuje odbić piłkę Wilanowskiemu. Nie daj, nie daj! — wołają nasi z trybun. Ojej, gotów jest mu ją odebrać, Wilanowski ostatkiem sił daje potężnego kopniaka i piłka wpada między trybuny, leci wprost na głowę prezydenta miasta...

— Prezydent podbija ją zręcznie denkiem cylindra i podaje premjerowi... Gracze w pogoni za piłką wskakują na trybuny, ale teraz pan premjer prowadzi. Potężnemi susami wybiega na boisko, osłaniają go z boku Beck i Stpiczyński, publiczność wyje z zachwytu, niektórzy wymachują czerwono - białemi chorągiewkami, ano, nic dziwnego, przecież to nasze barwy, lecą do góry kapelusze. Orkiestra rżnie... 4-tą Brygadę, Niemcy siedzą, jak urzeczeni. „Brawo Beck! Brawo premjer!..." — rozlegają się okrzyki... Premjer podaje piłkę Beckowi, ten celnym kopniakiem podaje ją Rajchmanowi, odbiera mu ją zasapany Sieroszewski i, podbijając piłkę brzuchem, wali prosto na niemiecką bramkę. Na pomoc Niemcom rzuca się prof. Zieliński.

Ambasador niemiecki jest również na boisku, usiłuje interwenjować, ale sędzia go nie widzi. Przybywają nowe siły, zeskakują z trybun i pędzą na boisko. Bracia Adamowicze (to dzielne chłopaki, są dzisiaj w świetnej formie), Lawiński, Kaden, Grydzewski z dwoma psami, B-cia Jabłkowscy, oraz panie Pate'owa, Krzywicka, madame Laroche i wiele innych... wszystkie żony, jak jeden mąż pędzą naszym graczom na pomoc.

— Zaciekła walka toczy się teraz przy niemieckiej bramce. Bramkarz Mincler raz po raz nakrywa piłkę robinzonadą. Okropna kotłowanina. Nagle gwizdek... Co jest? Okazuje się, że Sławek zrobił faula... i to już nie pierwszy raz, ale sędzia dotąd jakoś tego nie zauważył. Korner... Panie sprzeczają się o to, która ma kopnąć piłkę, wreszcie prawo kopniaka otrzymuje madame Laroche, piłka ociera się o samą bramkę — podchwytuje ją Dymsza i wybija wspaniałą świecę aż pod obłoki. Dostaje huczne brawa. Piłka spada na głowę Mirjama, ten podaje ją Berentowi, odbiera mu ją Goetel i usiłuje podać Słonimskiemu, ale ten uchyla się zręcznie przed piłką, za co dostaje od semickiej publiczności hałaśliwe brawa. Nagle z boku nadlatuje łysy, i usiłuje złapać piłkę pod nogi, w tej samej sekundzie wpijają mu się w oba pośladki psy Grydzewskiego. Huraganowe oklaski. Prowadzi piłkę Lawiński, podaje Tomowi, tom Jarossemu, Jarossy strzela w bramkę ale tym razem nie trafia... pewnie wyszedł już z formy.

— Podchwytują Adamowicze, podają Stpiczyńskiemu, ten premjerowi, premjer Wieniawie. Teraz prowadzi Wieniawa... „Brawo Wieniawa!" — ryczy tłum. Łysy Bender nawija mu się pod nogi, ale dostaje ostrogą w pośladek, sędzia nie zauważa. Wieniawa wali naprzód... ryk na trybunach wzmaga się... jest już nawprost niemieckiej bramki, szykuje się do strzału... Strzela... trafia... gol!!! Zwycięstwo!!!

— Możecie sobie państwo wyobrazić, co tu się teraz dzieje. Ludzie padają sobie w objęcia. Spadają z trybun, z dachów, z kominów... Lecą do góry kapelusze, to nasze, bielskie. Powiewają biało - czerwone chorągiewki, ano, nic dziwnego, przecież to nasze barwy. Publiczność wyje, niczem na walce becków, przepraszam byków. Orkiestra rżnie wiązankę melodyj swojskich. A Niemcy pospuszczali nosy na kwintę i siedzą, jak barany.

— Rozlega się gwizdek i gra trwa dalej... Wieniawa wykopuje piłkę na środek boiska, podchwytują B-cia Jabłkowscy i podają Wedlowi. Staruszek kopie niezręcznie i piłka pada tuż obok mojego mikrofonu, darujcie państwo, ale nie mogę wytrzymać... ja, ja... muszę także kopnąć... ja też jestem Polakiem!

W tej samej chwili w głośniku zamiera głos sympatycznego pana Trojanowskiego. Rozlegają się natomiast raz po raz ryki i oklaski, pewnie tam sporo golów Niemcom się dostało.

Janusz Minkiewicz

Manewry jesienne w pułku Szyfmana

(Codzienna musztra majora Jasińskiego)

Teatrrrrrrrr... baczność! Równaj! Kryj!
Drżyj tam jeden z drugim, drżyj!
Marsz kompanja! W lewo zwrot!
Me rozkazy chwytać wlot!
Lewa! Prawa! Padnij! Ćwicz!
Wisi guzik, panie Znicz!
Sierżant! Marsz do paki z nim!
Zmienić nogę, panie Sym!
Węgrzyn nie tak! Justjan zuch!
Hej! Samborski! Schować brzuch!
Pertner mi przynosi wstyd,
Dymsza tyłek wypiął zbyt!
Źle Junosza: rozkrok zły!
Muszę awans cofnąć ci!
Stop!... Kadena czuję woń:
Idzie ktoś! PREZENTUJ BROŃ!!!

Co? Nikt nie wszedł?! Spocznij! W tył!
To fałszywy alarm był!
Wesołowski! Padnij! Wstań!...

Teraz będzie musztra pań.
Oddział damski! Baczność! Już!
Marsz! Gazowe maski włóż!
Teraz odlicz! Równaj! Kryj!
Te! Gorczyńska! Popraw ryj!
Romanówna gada coś?
— Do raportu więc się zgłoś!
I Lubieńska gada też?
— Pani iść do paki chcesz?

Spocznij! Minął ćwiczeń czas!
Wnet na obiad puszczę was!
Po obiedzie zbiórka tu!
Przybiegniecie więc co tchu
Kadenowi złożyć hołd,
Wtedy wam wypłaci żołd!

Byczc chłopy! Świetnie im
Odpowiada mój regime!
Lecz za każdy w musztrze błąd
Oddam pod polowy sąd!

Hej, orkiestra! Zagrać mi
Capstrzyk ku Korsaka czci!
Baczność D. O. K. K. T.!
Spocznij! Czołem! Rrrrrrrozejść się!!!